



610860

017602
RUDOLF
CZEKANOWSKI,

CZYLI
DWIE TATARKI.

POWIEŚĆ Z POCZĄTKU OŚMNASTEGO WIEKU.

NAPISAŁ

I. Bohdanowicz.

TOM II.

WARSZAWA,
W Drukarni J. UNGER,
ULICA BIELAŃSKA, W DOMU G. SENNEWALD, N. 595

—36—
1846.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie d. 22 (10) List. 1844 r.

Cenzor, Niezabitowski.



1319248

I.

TRZECIOTY.

Szafranowicz i Jan, spostrzegłszy rozszerzające się płomienie, wybiegli na ulicę dla pośpieszenia na pomoc. Możemy wystawić sobie ich przerażenie, gdy się dowiedzieli, że ogień niszczy więzienne zabudowania, w których przyjacieli ich był osadzonym. Ratować go było na myśli u obudwóch, ale żaden z nich nie był wstanie zdobyć się na środki, jakieby zamiarowi ich odpowiedniemi być mogły.

Zgromadzona przez Darwerda i Edwarda szlachta, zamiast przyłożenia się do wstrzymania szerzącego się ognia, i podania pomocy palącym się więźniom, siadła na koń i otoczyła miejsce pogorzeli, aby zbrodzeń, Rudolf Czekanowski, wśród zamieszania powszechnego, nie zdołał się ocalić.

Jakkolwiek szlachta dosyć gęsty tworzyła szpaler, i bezwzględnie niktogo dopuścić do ognia nie chciała, przecież mieszczenie, oburzeni tem jej postępowaniem, zagrażajacem zniszczeniem całemu miastu, tłumnie zebrali się w jedno miejsce, z kąd rzucili się na oddział zbrojnej szlachty, zamykający ulicę, i ten wraz z sobą ku pożarowi pociągnęli.

Z téj chwili korzystał Kirlik. Nie tracąc czasu, wymknął się z opalisanego obrębu więzienia, i, nie oglądając się wcale, opuścił Troki.

Z nim razem wyszedł także Rudolf, który, jak to już w poprzedzającym widzieliśmy rozdziale, naprzód do matki, potem do tatarskiego udał się domu.

Czekanowski, ulegając wpływowi namowy Sulejmana, postanowił oddalić się z Trok. Wprzód jednak, skropić chciał łzami mogiłę matki, pożegnać wiernych przyjaciół.

Wyszedł on właśnie od Sulejmana, gdy na ulicy, w rynku, ujrzał gromadzących się Tatarów. Płomienie pożaru wzmagały się coraz bardziej, a łona odbijająca się od sklepienia niebios, promiennem swém światłem uderzała na ogorzałe lica mężnych walczy, spokojnie rozmawiających pomiędzy sobą.

Rudolf prawie ich wszystkich znał dobrze, i wiedział, że z łatwością umieli zamieniać pług na oręż, oręż na topor, lub inne jakowe gospodar-

skie narzędzie. Wiedział również, że to byli ludzie poświęcenia się, gotowi w każdym czasie, nawet życiem wypłacić dług ludzkości. Zadziwił się zatem bardzo, widząc ich oziębłe prowadzących rozinowę, wtenczas, kiedy ich czynność, najbardziej skuteczną byłoby mogła.

Pomimo, że niebezpieczeństwo bynajmniej nie minęło, lecz owszem, w miarę dłuższego jego pozostawania w Trokach, powiększało się, Czekański, przejęty wzniosłem uczuciem miłości bliźnich, nie umiał powściągnąć siebie, i zamierzył zbliżyć się właśnie do stojących Tatarów, aby im wyrzucić ich obojętność, i skłonić do czynnego gaszenia pożaru, gdy nagle ciż powsiedli na konie, i czwałem ruszyli w stronę trwającego pożaru.

— Co to się znaczy? — mówił do

siebie Rudolf, — jakaś wojenna wyprawa...

I zamyślił się.

Hałas strzałów, szczęk szabel, i głośne wołanie nacierających, obudziło z zadumienia Rudolfa. — Mój Boże, — zawolał, — walczą, teraz czas zmazać wydany na mnie wyrok.

Czekanowski powrócił do Sulejmana, opowiedział o czem słabe miał wyobrażenie, i objawił życzenie swoje. Stary skinął ręką na znak przyzwolenia, Misalla podała Rudolfowi broń i szablę, a gdy odchodził, krzyżem go pobłogosławiła, odwróciła się do okna, i skrycie płynące łzy z ręcznie ręką otarła.

Jeszcze Rudolf nie doszedł do miejsca pogorzeli, a już spotykał oddziały, lub pojedynczych jeźdźców, zmykających z pola, odstrzeliwujących się i

ściganych wzajemnie poświstem karabinkowych kul.

— Do licha, to pewno Szwedzka sprawka,.. ależ tam także Tatarzy pojechali, a żadnego nie widzę pomiędzy uciekającymi,... może to zwada domowa... a może... lecz cóżby to była za zuchwałość, chcieć uwolnić skazanego przez sąd na śmierć więźnia?

— Edwardzie, Edwardzie, — wołał nadzieżdżający człowiek, — nie opuszczaj mnie, koń się rozpiera, diabły gotowi mnie rozsiekać.

Ale jadący na przodzie nie zwrócił konia, uderzył go owszem silnie ostrogą, i zniknął z przed oczu dorozumiewającego się rzeczy Rudolfa.

— Stój, albo kulą w łeb.

— A już stoję, patrzcie, ja bezbrony; ja tylko przyjechałem do ognia, djabeł wie, co się u was dzieje.

Rudolf poznał w uniewinniającym się fałszywego świadka, Darwerda.

— Zobaczymy,—zawołał dojeżdżający Tatar,—zobaczymy, coś ty za jeden, bratku; czekaj, może i ty należysz do bandy intrygantów.

— Na Boga przysięgam, że o niczem nie wiem, co wy chcecie ode mnie?

— Zdania sprawy z czynności,—mówił dalej jeździec trzymając za kołnierza Darwerda,—pocóżżeś uciekał?

— Wszyscy uciekali.

— A my was gonili, prawda?

Czekanowski zbliżył się do Jussufa, (on to był bowiem) i biorąc go za rękę, zapewnił, że ujęty, wcale do sprawy nie należał.

— A! toś ty wolny, kochany nasz Rudolfie,.. pal go przeto lichu,—rzekł, i puścił Darwerda, który spał konia ostro-

gami, i czwalempuścił się ku żelaznemu mostowi.

Na tę rozmowę nadjechali Jan i Szafranowicz. Nie myśleli oni wcale, aby Rudolf wydobył się z płomieni; witali go zatem z radością, a każdy z przybywających za nimi, wyciągał doń rękę z tém czulém i szczerém uściskiem, jakim tylko nieobludna przyjaźń obdarzać może.

Mnóstwo mieszczan uzbrojonych, pieszo, zbliżało się z różnych stron do hufcu tatarskiego. Każdy dowiedziawszy się o ocaleniu Czekanowskiego, okazywał trudne do opisanja uniesienie.

Wkrótce stanęli wszyscy na rynku. Szafranowicz zabrał głos, i dowodził, że sprawy nie uważa za ukończoną, że ją potrzeba zanieść przed króla.

— A gdzie go będziemy szukać?

— Przecież Karolowi nie służemy.

— Nie jesteśmy jego poddanymi.

— Niech żyje nasz August!

— Niech żyje! — powtórzyło całe zgromadzenie.

— Precz z Szwedami!

— Troki zawsze były wierne swemu królowi, — mówił siwy mieszczanin, — możemy niesprawiedliwość sądu i nasz czyn jemu przedstawić; on wróci, przecież Karolek nie zawsze bruzdzić będzie po naszej ziemi;.. do licha, panowie bracia, nie czujecież w piersiach serc, nie macież przodków odwagi?

— O! na tej nam nigdy niezbywało.

-- Precz z Szwedami! — powtórzyli znowu zebrani.

— Dobrze mówi Szafranowicz, nasza dzisiejsza sprawa nieskończona, będziemy się bronić w razie napaści, a do króla wysłać trzeba...

— A kogo? kogo?

— Kto z nas tak mądry, żeby umiał przedstawić biedę naszą.

— Czekanowski, — ozwało się kilku.

— Prawda, Czekanowski sprawi to poselstwo.

— Dobrze, gotów jestem na wasze rozkazy, tym małym dowodem usłużności, pragnę okazać wam prawdziwą moją wdzięczność.



Nazajutrz odbył się pogrzeb zwłok wdowy Joanny. W papierach znajdujących się w kuferku, znaleziono dowody szlacheckie rodziny Czekanowskich, a lubo wówczas przesąd, wielki przedział pomiędzy stanami stawał, jednakże, ani Rudolf z tego powodu pyszniojszym, ani mieszczenia mniej mu przychylnymi być nieprzesłali.

W kilka dni Rudolf opuścił Troki,

przeprowadzany przez Jana i kilku Tatarów do Kowna, z kąd sam jeden w dalszą puścił się drogę.

Mieszczanie wspólnie z Tatarami, przez kilkanaście dni czuwali, spობiac się do odporu napadu, którego z strony szlachty spodziewali się; ale ta, po smutnem doświadczeniu, uważniej roztrząsając sprawę Rudolfa, i dowiedziawszy się, że on także jest szlachcicem, odstąpiła Edwarda, i do zwykłych zatrudnień powróciła.

Darwerd rozgniewany będąc na Zabohoskiego za opuszczenie go w boju, gotował mu zemstę, tém więcej, że uczuł nakoniec swoje niesprawiedliwe, a szlachetne Rudolfa postępowanie.

Kirlik kilka razy napróżno dowiadywał się do węglarskiej chaty; nigdy nie mógł bowiem zastać Jana, i objawić mu pożądaną wieść o miejscu

ukrycia Ayeszy, która przez starania Medy do zdrowia wracała, ale tak była osłabioną, iż trudów przewiezienia do ojcowskiej zagrody znieśćby nie mogła. Wprawdzie Kirlik gotów był pójść do Trok, ale Buczys obawiając się o bezpieczeństwo jego, wzbronił mu najmocniej udawać się do miasta, przez co Gabrijel Sulejman o pobycie swjej córki, żadnej nie miał wiadomości.

Takie było położenie rzeczy na czternaście dni przed wypadkami, o jakich w dwóch pierwszych opowiedzieliśmy rozdziałach.

.....

Chmury zasłyły niebo, błyskawice oświecały ciemność nocną, a pioruny roznosząc przerażające swe gromy daleko, padały u stóp konia, niosącego na sobie jeźdźca, osłoniętego tygrysią burką.

— Nie najprzyjemniej, ale zrobię mu figla, za który mi podziękuje.

Te słów kilka, cicho do siebie wymówionych, zagłuszył wicher zmieszany z ulewnym deszczem. Jezdny nasunął na oczy czworokańczastą czapkę, podniósł kapturek burki, a przytém wspomniał nie mały szereg złych duchów.

— O!... zapomniałem się... toć przecież będzie północ, w imię ojca i syna i ducha świętego, Boże zmiłuj się nademną.

Koń szedł wolno, spuścił głowę, jeździec szeptał pozdrowienie anielskie, a w myśli układał plany wcale niezgodne z duchem Chrystusowej religji.

Burza srożyła się coraz bardziej, woda poprzerywała groble, a biedne zwierzę, raz wraz zapadając i potykając się, nakoniec ustalo i iść wcale

nie chciało. Człowiek, który niem powodował, zaklął znowu, i znowu się przeżegnał, zsiadł z konia, wziął go za cugle i ostrożnie zaczął postępować po drodze, która coraz bardziej zwężała się i biegła w wyniosłą górę. Po obu jej stronach sterczały spadziste urwiska, obrosłe gęstemi zaroślami. Gdy jeździec stanął w tém miejscu, deszcz cokolwiek się zmniejszył, a grzmot daleki tylko, zwiastował, że burza wkrótce ustanie.

— Żłem się wybrał.

— O! niezawodnie, — odezwał się głos z pomiędzy krzaków.

Podróżny obejrzał się, a nie widząc nikogo, jeszcze raz znamieniem krzyża uzbroił pierś swoją, sięgnął do korda, a potem dalej trochę, i ujął rękojeść pistoletu, oczekując dalszych wypadków.

— Żłem się wybrał, — powtórzył, —

burza i burza, a do tego *bies* jakiś przeszkadza.

— Bies; oj! ciebie możnaby do rzędu ich policzyć, i tak już szatan niedługo cię porwie.

— Brm... co za noc... nie życzyłbym nikomu podobnej.

— O! wierzę; a wkrótce więcej jeszcze narzekać będziesz.

— Pf... cóż to? — krzyknął rozgniewany jeździec, — jeźliś djabeł, w imię Chrystusa, ruszaj wskroś ziemię i nie kuś mnie; jeźliś człowiek i odważny, nie siedź w dziurze jak lis, wyłaź i dalej, nie po łotrowsku z ukrycia, ale pocziwie, otwarcie skrzysz kordem ognia.

— Komu to mówić o uczciwości, — przemówił wychodzący z pomiędzy krzaków Kirlik, — czy i w Trokach pocziwymi byliście.

Darwerd uczuł, że zastępujący mu

drogę, dobrze znać go musi, a chcąc go pozbyć się jak najprędzej, przykląkł, pochylił się, i po powierzchni ziemi patrząc, rozpoznawał stanowisko napastnika.

— Ponieważ, — rzekł Darwerd, — zastępujesz mi drogę na publicznym gościńcu, zapewne masz do mnie jakąś urazę. Powiedz więc kto jesteś?

— A to na co? czyliż koniecznie potrzebnem jest wiedzieć, kto odbiera zbrodniarzowi życie.

— To ty, bracie, nastajesz na moje życie? w istocie, nie wiem jaką mieć będziesz z tego korzyść, — mówił Darwerd, cichaczem na koń siadając.

— Gadzina nie będzie kłaść Bożego świata... módl się...

Błyskawica oświeciła wzgórze, na którym Darwerd z Kirlikiem stali. Pierwszy dał ognia, uderzył ostrogą ru-

maka, i pędem strzały puścił się z góry.

— Glupim... napróżno rozprawialem; a, chytrzejszy odemnie, — domawiając tych słów, bandyta powolnie wdarł się na szczyt urwiska, popatrzał w stronę, w którą uciekł Darwerd i znikł potem w lesie.

Darwerd uszedłszy tym sposobem grożącemu mu śmierci, pośpieszał czemprędzej do nieodległej już siedziby starosty Wilczyńskiego. Jeszcze mu stopień wojewody nie wywietrzył z głowy, i dla tego, chcąc myśli swe wrzeczywistość zamienić, zaprosił był wielu z szlachty na biesiadę, na którą także sam powrócić zamierzał. Ten to był powód, że nie zważając na huczącą burzę, w noc ciemną w podróż się puścił.

Darwerd, po zaproszeniu poblizszych sąsiadów, wybrał się w dro-

gę do Wilczyńskiego, którego, jakkolwiek nie miał wcale nadziei skłonić do popierania swoich widoków, jednakże chciał przynajmniej nie mieć przeciwnym sobie. *Gdzie nie można przeskoczyć, podleżeć trzeba*, powtórzał dawną tę powiastkę, w chwili odjazdu, — starego może zdołam uśpić, młodą którąkolwiek zdurzyć, a ciotki ich serce zjednać. Jedno z tych trzech udać się musi, a zdaje mi się, że każde jest dobre.

Z takimi myślami opuścił swój dom, a lubo wiadome wypadki nieco je pomieszały, przecież z dobrą miną stanął w karczmie starościńskiej.

— Hej! żydzie, weź konia, żywięj, usługi.

— Ach! to jakiś wielki pan.

— Zdejm mi bóty, przemokłem, nogi natrzęj spirytusem; masz tam wino, he? masz, dawaj tu najlepszego; a zrób

mi także polewki, jaki tu zaduch, niegodziwe powietrze, czy i u Wilczyńskiego w dworze takie dziury?

Karczma nie była ostatnią, żyd zdziwił się zatem bardzo, gdy usłyszał, jak Darwerd poniżał jego pokoje, dziurami je nazywając.

— Cóż to, nie masz kadzidla, tu powietrze nie do zniesienia.

— Jasny panie, zara, zara, mam tu dobrze wysuszony jałowiec.

— Co? jałowiec, a cóż ty myślisz mi jałowcem pod nos kopcić, a ty niegodziwcze, tylko tu moi ludzie przybędą...

— Oj! nie ma innego.

— Żywiej, pościel, ale pamiętaj, czysto, schludnie i wygodnie. Dawaj wina.

— Zara, zara.

— Gałgan wino, dawaj innego, a

nie, to poszlij do dworu, powiedz, że wojewoda Trocki prosi o trochę wina.

— Aj waj, wojwoda... ach! jasny pan, mam najlepszego wina, starego, wytrawnego, sam król godnego, ja wcale nie bul wiedzić, ze tak wielkiego jasnego pana mieć w dom swego.

— Wina więcej.

Żyd postawił kilka opleśniałych butelek na stole i czekał, w pełnej uszanowania postawie, na dalsze Darwerda rozkazy.

— Cóż tu u was słyhać?

Żyd ruszył ramionami, na znak niewiadomości; niechciał bowiem przez niewczesną gadatliwość, narazić się na utratę łaski tak znakomitego gościa, o sposobie myślenia którego wcale nie wiedział.

— Co u was słyhać? gadaj żydzie.

— Jasny pan starosta siedzi w domu, ma trzi ładna curki i siostra.

— Ładne córki,... no, to mnie mało obchodzi.

— Jasny pan żonaty?

— A co ci do tego?

— Mnie nic do tego, ale jeżeli nie ma żonki, to pewno która starościanka, każe mu się pokochać.

— Co, co, każe?

— Nie, ale tak.

— Pościel, spać mi się chce.

Po kilkogodzinnym spoczynku, w czasie którego najgłębsza w karczmie panowała spokojność, Darwerd przebudził się, i głośno wołać począł na karczmarza, który śpiesznie stawił się na jego rozkazy.

— Ludzie moi przyjechali?

— Nikogo nie ma.

— Jakto? co ty bredzisz, gdzie są moi ludzie.

— Dalibóg, nikogo nie ma.

— A to zgroza, jakże ja tu sam do

starosty zawitam, ha, potrzeba wszystko na stronę usuwa.

— Masz tu za nocleg, — mówił dalej Darwerd rzucając na stół dwie złote monety, — czy dosyć?

— Ach, jaka ogromna chojność jasnego pana.

— No, to bagatela, okulbacz konia, pojedę.

Żyd odszedł.

— Trzeba odgrywać rolę, tym można zjednać sobie stronników... jestem pewny, że wracając, więcej od żyda będę mógł się dowiedzieć, a nawet na karb tytułu użyć go za bezwarunkowe dla siebie narządzie. A teraz śpieszmy... o! do licha,... byłbym zostawił list pisany do ministra... zacząłbym trochę wierzyć, że kiedyś, urzeczywistnię moje marzenia, a potem... potem... przecież i Sobieski był na przód hetmanem.

— Jasny panie, koń osiodlany, — rzekł uchylając drzwi karczmarz.

Darwerd wyszedł do stodoły, a za podane przez żyda strzemie, rzucił talarą, ściągnął cugle, kiwnął głową i odjechał, a żyd, z mycką w ręku, długo spoglądał za nim, w duchu myśląc: trzeba mu służyć, może będzie lepiej, jak życie całe pozostać karczmarzem.

W innym zupełnie charakterze, stał się Darwerd przed Wileczyńskim. Smutny, lecz zarazem śmiały wzrok starosty, w którym przenikliwość widocznie górowała, nie pochlebiał wcale zamiarom pierwszego, a nawet, w pierwszej chwili postanowił on zaniechać odkrycia swych myśli Wileczyńskiemu. Ale uprzejmość, a bardziej jeszcze uprzedzająca troskliwość, jaką mu w gościnnym domu okazywano, ośmielała go do uczynienia wyznania,

tém więcej, że widział tak łagodne z każdym postępowanie starosty, iż surowe rysy twarzy jego, nie wywierały więcej najmniejszego na nim wrażenia.

— Kochany bracie, — mówił przy obiedzie Wilczyński, — jesteś młody, niepowinieneś przeto opuszczać nastęrczającej się sposobności.

— W tym właśnie celu przybyłem do zacnego jego domu.

Muszę uczynić tu wzmiankę, że Darwerd z wstąpieniem na próg starościńskiego domu, zmienił zwyczajny sposób mówienia, i starał się usilnie być tyle baczny, aby w umyśle Wilczyńskiego nabyć przychylne o sobie mniemanie.

Rozmowa przy obiedzie, którą starosta z całą otwartością i swobodą prowadził, bardzo utrudziła Darwerda, zmuszonego powstrzymywać grube

swe wyrażenia, do jakich w pospolitem życiu nalogowo przyzwyczaił się, i wyszukiwać na prędce słów odpowiedniejszych gronu towarzystwa, jakie zastał zgromadzonem w Wilczyńskich siedzibie.

To sznurowanie ust i dosyć częste jąkanie, nie uszło uwagi gospodarza, znającego świat, a lepiej jeszcze charakteru i serca ludzkie. Wilczyński uczuł, że gość jego niewypłacał mu się tą szczerością, jaką on przemawiał, że w głębi duszy kryje myśl, chociaż pragnie ją objawić. Do człowieka podobnego, jeżeli przy pierwszém widzeniu zdolni jesteśmy ocenić i odkryć wewnątrz jego, nigdy zaufania zupełnego mieć nie można. Wilczyński też bardzo był nieukontentowany obecnością Darwerda, ale tego ani jemu samemu, ani nikomu z otaczających nie dał uczuć.

Przeciwnie Darwerdowi zdawało się. On mniemał serce starosty mieć sobie podbitem, a o jego charakterze najmylniejsze powziął wyobrażenie i pewnym był prawie niewątpliwego skutku swego przedsięwzięcia.

Zarozumiałcy najwięcej na tém tracą, a jakkolwiek podobne zawiedzenia się, dosyć często ich dotykają, tak są nieszczęśliwi, że niechęcią wcale żadnej uczynić ofiary z własnej swęj miłości.

Po obiedzie, Wilczyński wysłuchał cierpliwie przełożeń Darwerda. Zuchwała dążność ostatniego, wyczerpała w całości delikatność starosty. Odpowiedział mu z godnością, tym pełnym siły i dzielności głosem, na który najbozzeczniejszy zarozumialec zdrećtwieć musi. Darwerd pożegnał starostę, ale w jego wejrzeniu, nawet w uściśnieniu ręki, było coś takiego, co

nieublaganą zemstę i wieczną nienawiść zwiastowało.

Wracając do domu, wstąpił do karczmy. Żyd przyjął go z największym uszanowaniem, a Darwerd chcąc go w większej zostawić jeszcze niepewności, najpochlebniej mówił o starości. Wrzała w nim krew, drgały żyły, gniew niepohamowany tylko co miał wybuchnąć, ale potrzeba nakazywała inaczej działać. Intryga zaczęła się rodzić.

Pomimo koniecznej obecności w własnym domu, gdzie spodziewał się zastać zgromadzonych już towarzyszy, Darwerd pod rozmaitemi pozorami zwlekał odjazd, chcąc zbliżyć się do żyda, wyrozumieć go i usługi tegoż sobie zapewnić. Gdy odjeżdżał, karczmarz gotów był wykonać najmniejsze skinienia jego woli.

Namiętności burzyły całą istnością

człowieka, który mógłby być w ojco-
wskiej spuściznie bardzo być szczę-
śliwym. Darwerd wyrzekłby się wpra-
wdzie marzeń swoich, gdyby tylko
mógł osiąść innym sposobem boga-
ctwa, on nie dążył do sławy, on nie-
rozumiał nawet co to jest *sława*: ży-
czył tylko *módz i władać*! Biedny za-
ślepieniec!!!

Północ przebiła, gdy podkowa koń-
ska zatętniała na podwórzu domu,
właściciela wioski S^{***}. Z okien biła
luna światła, brzmiały głośnie wiwaty;
spijano za pomyślność Karola. Dar-
werd oddał rumaka w ręce wybiegłe-
go na spotkanie sługi, a sam, w ubio-
rze podróżnym, wpadł do pokojów, pu-
szczając wodze powściąganej dotąd
wolności.

Resztki majątku przepijała szlachta.
Darwerd ćwiczony w jej szkole, wie-
dział, iż dowolnie nią rządzić można

dopóty, dopóki pijana, korzystał przede-
to z tej chwili i począł podburzać umy-
sły, które jednozgodnie wtorowały je-
go opinjom. Wszystko mu sprzyjało,
a przyszłość była uśmiechającą się...
co było za tém uśmiechem... później
się dowiemy.

Tak spędzono noc i dzień następny.
Wieczorem Darwerd przypomniał o-
bietnicę, ale zaledwie połowa zgro-
madzonych gości utrzymać się mogła
na koniach. Dwie wyprawy ich cze-
kały; — liczbą, nie przechodzili czter-
dziestu.

Ale czterdziestu rębaczy, co to od
żakostwa z szablą tylko się znali, co
to nie na jednej *suwałce* z Tatarami
byli, Turkom w oczy zazierali, a Szwe-
dzkich rycerzy gromili, czterdziestu
powtarzam walecznych, czego by do-
kazać nie mogło, gdyby ich zamiary
były prawe, a głowy trzeźwe? Nieste-

ty! w owych czasach, bróń bratnia, ni-szczyła niwę i kominy bratnie, a wróg dowolnierzadził krajem i narzucał prawa; to oślatnie nieuznawano za niesławę, lecz za hańbę poczytywano, jeżeli nie pomszczono się za słowa, które najczęściej lekkomyślność lub zbyteczne użycie trunku, na świat rodziły.

I teraz dwie drogi. Na zachód Monajcie, na południe dworzec Wilczyńskiego. Jedna noc powinna być wy-dostarczającą dla zniszczenia obu-dwóch i zaorania ich posad.

Jeszcze dwóch czy trzech, mniej nad innych pijanych, siadło na koń, a mruczając pod nosem piosnkę hula-cką, kiwali się i zaledwie w siodłach utrzymać się mogli. Darwerd, którego do tak zaszczytnéj wyprawy, wodzem okrzyknięto, i który w oczach kaźde-go z osobna swego gościa, za przyszłego wojewodę był uważanym, dał

znak do marszu, a cała ta tłuszcza pijacka, puściła się z miejsca galopem, niosąc w sąsiednie bliżnich siedziby, pożar, śmierć i zniszczenie.

Przemknęli dwójką po ciasnej leśnej drodze.

.....

— Ha, to szlachta, — rzekł Buczys do swoich, liczba których pomnożyła się zbiegami z trockiego więzienia, — Kirlik.

— Słucham.

— W kaplicy stoi koń.

— Wiem o tem.

— Siadaj, wmięszaj się pomiędzy nich, dalej wiesz co masz robić.

— Słucham.

Wkrótce Kirlik pogonił za szlachtą.

Niedaleko Monajcie, spokojne, śpiące.

Bandyta puścił cugle, przerznął się

przez las i z boku złączył się z szlacheckim hufcem.

— A, jakżem kontent,— mówił Kirlik do jadącego obok siebie.

— Z czego?

— Przecież będzie robota.

— Fiu, robota, czyś ty zwarzjował... masz się z czego radować... nie mówię o starości, tam to co innego, ale tu... na chłopów.

— Jakto! to my nie na dziedzica wsi jedziemy?— zapytał Kirlik, chcąc zbadać, dokąd rzeczywiście zmierzają.

— Wojewoda nawet nie zna właściciela Monajci, zresztą nie wiem co tam ma za urazę do téj wsi.

— Myślałem, że wasze wiecie o tém, dalibóg idziemy niszczyć, a nie wiemy za co?

— Djabel nam potém, przecież wina i miodu, mięsiwa i wódki dał *multum*.

— A prawda, doskonałe wino.

— Bredzisz bracie, deszczówka.

— Może tobie dostało się takie, ja miałem wyborne, stare, trąciło myszką.

— Moje było deszczówka.

— I moje, — dodał jadący za nimi.

— Widać, że gospodarz więcej mnie od was uważa, — wtrącił Kirlik, zamierzając poważnie umysły.

— Alboś ty co lepszego?

— Być może, — odparł Kirlik i zjechał z drogi w las, zwracając konia ku Monajciom.

Za sobą usłyszał gwar. Cieszył się, że zamiar jego udał się, potrzeba tylko było ostrzedz w Monajciach, potem donieść Buczysowi, że szlachta Wilczyńskiego ma napaść. Kirlik nie żałował konia, i już sięgnął pierwszych płotów Monajci, kiedy z drugiej strony ulicy ujrzał gorejący dom.

Opuszczona przez Kirlika szlachta, rozdzieliła się na dwie części. Jedna z nich wspólnie z swoim przewódcą, pośpieszała do celu, druga zaś, pozostała w lesie, nie chcąc towarzyszyć pierwszemu, i domagała się objaśnienia, dla czego jedni lepszemu, drudzy pośledniejszemu częstowani byli winem.

Dopiero po długich swarach, przekonawszy się, że jakiś bies pomógł im głowy, udała się do Darwerda, aby przyczynić się także do mordów, i zarobić na zaszczytne imię *podpalaczy*.

Kirlik spostrzegłszy, że za późno przybył, i dla ocalenia Monajci, zwrócił konia i tą samą drogą wracał do kaplicy.

Darwerd zaś, inny nie zaś spalenie Monajci, mający zamiar, starał się powstrzymać zapalczywość swych współników; atoli nie słuchano wcale słów jego, i w krótkim czasie, na miej-

scu wsi, popiół i węgle tylko pozostały, z pomiędzy których sterczała, to ręka spalona, to poczerniała czaszka, to znowu, gdzie niegdzie żelazo kosy lub wideł, użytych do obrony przez kmiotków, powiększaj części poległych w tym szalonym zapędzie dumy, uważającej pracowitego rolnika za upośledzone i niegodne społeczeństwa jestestwo.

Gdy już, pomimo usiłowań Darwerda, szlachta nasyciła się krwią i pożogą, kilku z nich otwarcie okrzyknęło wodza swego Trockim wojewodą. Okrzyk taki, jednogłośnie powtórzony przez cały hufiec, zatłumił przykre uczucie, jakie zniszczenie wioski na dzikim nawet Darwerda umyśle wywarło.

— Bracia, — przemówił on, — jestem wojewodą, jeźlim wasz wódz, winniście mi posłuszeństwo.

— O! ho! czego mu się chce, — wrzasnął jeden z najbliższych stojących.

— Szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie, mospanie! — zawołał drugi.

— Może jeszcze lepszy, — dodał trzeci.

— Zapewne, że lepszy, — uczynił uwagę inny.

— Lepszy jak lepszy, ale równy.

— Co równy, nie równy.

— Zawsze niech tylko równość będzie.

— Nie.

— Takiego wojewody nie chcemy.

— Nie chcemy.

— Nie, precz z nim!

Tłum ścisnął się coraz bardziej około Darwerda, i gotów był użyć tych samych mieczy, przeciwko swemu przewódzcy, które niedawno na jego poświęcał usługi. Darwerd poznał,

że niebezpieczeństwa mu grożącego, może tylko uniknąć przez śmiałe wystąpienie, zebrał przeto wszystkie siły, a chociaż pot zimny i przestach tłumil mu oddech, jednakże tłumiąc w sobie bojaźń, postąpił naprzód kilka kroków, i stanął przed jednym z najbardziej krzyczących.

Przyznać musimy, że w chwili tej, Darwerd stawiając na kartę życie swoje, dziwnie szlachetnej był postawy. Wszelkie odcienia rzeczywistego charakteru jego, tak dobitnie malujące się na twarzy, znikły; a miejsce ich zastąpiła owa przerażająca sinawa bladeść, jaką nie strach, lecz wielkość rezygnacji stwarza. Oczy jego błyszczały tym przenikającym i rozkazującym zarazem wyrazem, przed którym najodważniejsi ludzie na chwilę wstrzymują się; a nie zapomnijmy jeszcze, iż to było w chwili walki dnia

z nocą; świt szarawy mieszał się z po-
blaskiem gasnących zarzewi, padają-
cym na wojownicze oblicze Darwer-
da, i wypełniającego krwawem swem
światłem, najmniejsze zarysy surowej
jego twarzy.

Nie zawsze był takim Darwerd. Wi-
dzieliśmy go w Trokach, jako podle-
go tchórza, unoszącego kłamstwem
z pola bitwy życie; przekonaliśmy się,
że w nim nie masz nic szlachetnego.
I dla tego to właśnie w Monajciach
przeciwny widzimy obraz. Tam je-
szcze Darwerd myślał tylko, za pośre-
dnictwem przyszłych intryg, dopiąć
ukartowanych zamiarów; tu, w chwili
spełnionych życzeń i uczucia najwyż-
szej radości, stracić je, było nadmiarem
poniżenia jego dumy i samolubstwa,
przymiotom, którym, postępowaniem
swem oddawna składał holdy; nie mógł

przeto być panem siebie, i, nie zważając nawet na zgubne skutki wyniknąć dlań mogące, ostateczném wysileniem, chciał koniecznie utrzymać godność, jaką mu garstka pijanych, niespokojnych ludzi, w zapale trunkowego szalu, przyznała.

Wspomniałem, że w czasie wzburzenia się swoich towarzyszy, Darwerd doznał przestachu, tak, prawda, ale za tém uczuciem szło inne: dumy, potrzeby, niebezpieczeństwa. Zjednoczenie tego wszystkiego, dało ową wspaniałą postawę Darwerdowi, ów ruch dzielności, i wzrok śmiały, jakie zazwyczaj wpływ wielki na ludzi wywierają.

Jeszcze Darwerd nie wymówił przez zacięte zęby i zaciśnione usta, jednego słowa, a już przychylnie sobie sły-szał głosy. Nie sięgnął do korda, a

szlachta ścisłała go i całowała, bratem starszym nazywając.

Kłótnia ta zabrała nie mało czasu, nie można było myśleć o najeździe na Wilczyńskiego. Darwerd zaprosił znowu szlachtę do siebie, chcąc ją hulaćką przynęcić, a wspólnemi zbrodniami z sobą związać.

Tymczasem, kiedy sprzeczki trwały pomiędzy awanturniczą zgrają, Kirlik poganiał konia, pragnąc jak najrychlej uzyskaną wiadomość zawieść Buczysowi; ale Kirlik był zawsze Kirlikiem, wódka i mord, dwa te przedmioty mogły go skusić do porzucenia najważniejszego przedsięwzięcia, i do narażenia się na oczywiste niebezpieczeństwo.

Bandyta dojeżdżając wioski Darwerda, dogonił żyda wiozącego baryłkę miodu, i antałek wódki. Zapach trunku wzbudził w nim chęć pokoszto-

wania takowego, zrównał się przeto z woźnicą, i, bez poprzedniej rozmowy, po prostu rozkazującym głosem, kazał wstrzymać się żydowi i utoczyć mu wódki, której, jak mówił, dnia tego jeszcze nie pił; Kirlik nie zminął się z prawdą, wiemy bowiem, że przed północą złączył się z szlachtą zmierzającą ku Monajciom, a po północy dopiero godzina upłynęła.

Żyd z ukosa spojrzał na jeźdźca, pytając, za wiele żąda wódki.

— Nie płacę na drodze nigdy, jeszcze myślę, bratku, że mi oddasz to, co masz w kieszeniach.

— No, to jakoś na rozbój wygląda.

— Życzylbym ci milczeć, bo będziesz na własnych cycelach wisieć.

Żyd popędził konia.

— Stój,—wrzasnął Kirlik,—ani mi z miejsca ruszyć, a patrz, jeżeli nie

chcesz wisieć, to cię olów mądrości nauczy,—i odwiódł kurek pistoletu.

Izraelita widząc, że opór jego nie tylko mu pomocnym, lecz owszem przeciwnie zgubne skutki mógłby spowodować, odbił zwierzechni szpunt i wyciągnął w spory garnczek wódki.

— Podaj mi, — rzekł Kirlik, pochylając się ku żydowi z konia.

Ostatni przystąpił do bandyty, i gdy miał już mu podać wódkę, zręcznie chlustnął takową w oczy Kirlikowi, a potem jedną ręką wyrwał mu pistolet, drugą zaś zdarł uzdzenie z konia, przez co zbójca zupełnie był w jego mocy.

Kirlik mając oczy zalane wódką, naprzód obudwoma rękoma zaczął je przecierać; ale za chwilę, odzyskawszy przytomność, zaniechał tej roboty, i, pomimo najokropniejszego

bólu, skoczył z konia i porwał za piersi żyda.

Judeejczyk wystrzelił. Kula wyrwała część lewego policzka Kirlikowi. Wściekłość ogarnęła bandytę, szarpnął gwałtownie żydem, a zrobiwszy nim krąg w powietrzu, silnie uderzył go o beczi.

Kość golenia prawej nogi pękła, i żyd nie mógł powstać z ziemi. Jęczał boleśnie, wówczas, gdy z piersi Kirlika ani słowo narzekania nie wyszło.

— Czekał, psie niechrześcijański, oszuście, żalowałeś mi wódki, ja ci nie pożałuję postronka, — mówił bandyta, wycierając chustką zmaczaną w rosie oczy.

— Ach! zmiluj się, nie zabijaj mnie.

— O! tyś mi życia odebrać nie chciał, nie, wierzę temu.

— Bronilem się, bąc wspaniałomyślnym.

— Dobrze, dobrze, — powtarzał Kirlik, wiążąc ręce żyda, zdjętymi z konia lejcami, — mój koń, Bóg wie gdzie, teraz twój zastąpi tamtego, pocieszysz się na łonie Abrahama.

— Zmiłuj się, zlituj, nie zabijaj, och, och, nie zabijaj.

— Powieszę cię, bratku, nie możesz chodzić, pewno ci się noga złamała, do doktora daleko, wdałaby się gangrena, umarłbyś w cierpieniach, krócej skończysz na galezi.

— Zmiłuj się... moje dziecko kona, pan je pobił.

— Za co?

— Zerwało kilka kłosów pszenicy, małe dziecko, pięć lat tylko.

— Jaki pan?

— Pan wojewoda, pan Jacenty Darwerd.

— Daj go katu, -- zmiennym wyrzekł głosem bandyty, — chociaż

mnie na zawsze oszpecił, daruję ci życie.

Kirlik rozwiązał żyda, wyrwał kilka garści rosnącego żyta, zgniótł, i położywszy je między beczkami, wsadził na to judeejeżyka, założył na nowo lejce, podniósł leżący na ziemi pistolet, zatknął go za pas, napił się wódki, i wzięwszy za cugle konia, doprowadził go na drogę, z kąd już prosto mógł iść do wioski.

— Będziemy się pamiętać, bratku,—rzekł Kirlik opuszczając żyda, który bezwładnie trzymał w rękach lejce, posiniał cały, a jednakże, nie mógł się dosyć wydziwić postępowaniu grabieżcy.

Kirlik wszedłszy do lasu, uezbierał liści i przyłożył je do rany, a potem zdjętą z szyi chustką obwiązał sobie twarz.

Użycie trunku po odniesionej ranie,

gwałtowne wzruszenie jakiemu uległ, ból, a nakoniec zawrót głowy i bezsen-
dwunocny, tak dalece osłabiły Kirli-
ka, że upadł na ziemię i usnął. Już
było południe, a Buczys sam jeden
w kaplicy pozostały, napróżno oczeki-
wał na swego posłańca. Z rozmaitych
domniemań, jakie myśli jego przebie-
gły, najprawdopodobniejszym mu się
zdawało, iż on odkryty i pojmany
został przez szlachtę. Wiedział do-
brze, iż on towarzyszy swoich nie
wyda, i że również Darwerd nie tracił-
by czasu na badaniach, wtenczas wła-
śnie, gdy wiele było do czynienia.

Jakkolwiek Buczys niepochwalał
srogich czynów Kirlika, usilnie sta-
rając się usposobienia jego uczynić
łagodniejszymi, co atoli zawsze by-
ło bezskutecznem, nie mógł jednak-
że odmówić mu swego żalu, pomnąc,
że w wielu wypadkach, Kirlik dał do-

wody nieokreślnego poświęcenia się i męztwa bez granic.

I pomiędzy zbójcami jest przyjaźń. Większa nawet może aniżeli w ucywilizowanym świecie. Tu zazwyczaj interes indywidualności przeważa węzły przyjaźni, tam przeciwnie losy są tak zespolone, że tylko najzupełniejsza jedność, może im stanowić rękojmią nędznego bytu oplakanego życia.

Buczys, którego historję życia, okoliczności jeszcze zasłaniają, nie tylko smutnym, lecz nawet strwożonym być się zdawał, gdy i nad wieczorem nie wrócił posłaniec. Kilku z jego bandy przybyło odebrać rozkazy na następną noc. Buczys polecił im przebieść lasy i koniecznie dowiedzieć się o losie Kiriłika. Czywas i Pryba pozostali tylko przy swym dowódcy, bardziej jeszcze zmartwionym przyniesio-

na przez ostatniego wieścią, że w Monajciach tylko węgle i popiół pozostały.

Noc zapadła, dwaj podwładni spali w krzakach, tylko Ludwik Buczys czuwał, nie wiedząc, że nieopodal znajduje się poszukiwany. Nagle zajaśniało światło pochodni na drodze, idącej z dworu Darwerda do lasu. Przy tém świetle bandyta ujrzał szykujące się rotę jezdne, a pewnym będąc, że nowa jakaś wyprawa jest celem nocnych tych przygotowań, zbudził śpiących i wysłał ich na zwiady, z poleceniem, iżby czasu nie tracili, i, w razie niepowzięcia pewnych wiadomości, niebawem wracali.

Zaledwie Czywas i Pryba odeszli, przybył Kirlik.

— Zabij mnie, — z ciężkością wymówił, — zawiniłem, zdradziłem ciebie.

— Ty?

— Tak, ja, rozkazy twoje źle wykonałem i Bóg mnie za to ukarał.

— Cóż się stało?

— Już się nie odstanie. Nie mogę ci towarzyszyć, a trzeba iść nie jednemu. Sześćdziesiąt i coś koni napadnie nocy dzisiejszój na Wilczyńskiego.

— Na Wilczyńskiego? — zawołał prawie rozpaczliwie Buczys.

— Tak, na tego dobrego pana, na ojca kmiotków.

— Mój Boże... trzeba koniecznie ratować Karola, — cicho do siebie przemówił Buczys, — Kirliku, tyś ciężko ranny?

— Nie, ale spuchła mi twarz, mało widzę na oczy, byłbym tu już dawno, ale prawie po omacku szedłem.

— A więc idź do Medy, ona ci lekarstwa udzieli.

— A wy?

— Powiesz Medzie, że poszedłem bronić starostę.

— Ależ to nie podobna.

— Bardzo podobna, kiedy Buczys mówi.

— Nie, nie, nie pójdziesz.

— Idź pocziwcze do Medy, nasi nadchodzą, nie sam jeden będę miał udział w walce.

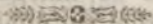
— Ach! jakżem ukarany, możeby to dzisiaj najpiękniejszy był dzień zemsty... tyle szlachty, — i Kirlik powolnie odszedł od swego wodza.

Przypadek, los, Bóg, powiedźcie sobie jak chcecie, dosyć na tem, że w niecałym kwadransie cała banda Buczysa, zebrała się, jakby zwołana wyższym głosem, jakby wiedziona zwierzęcym instynktem.

Ludwik Buczys stał na czele dzieściu ludzi, kórzy na głos jego poszliby w piekło. Czywas i Kaziulis, któ-

rych poprzednio poznaliśmy, stanowili straż przednią, reszta ostrożnie postępowała za nimi. Bandyci, radziby byli uprzedzić szlachtę i ostrzedz Wilczyńskiego, ale w tym właśnie czasie ruszyła także szlachta, a jako konna, przez pieszych wyprzedzoną być nie mogła.

Czywas z kolegą swoim cofnął się i oznajmił, że zna inną drogę, bliższą. Korzystano z tego i zwrócono się na ciemny leśny manowiec, po którym tak cicho marsz swój odbywali bandyci, że nawet stapań ich słyszeć nie można było.



III.

TRACJA.

Słyszycie?

— Słyszemy—odpowiedziało kilka głosów pytającemu.

— A więc żywiej . . . toćto przecie szczęk broni.

— Tak, nie co innego, ale widać starosta do broni się miał.

— Zdaje się.

.
Szlachta gościła u Wilczyńskiego,
kruszyły się szable, kule przebijały

piersi, ściany lub okna domostwa. Darwerd, nie był tu tym mężem umiarkowania co w Manajciach; podlegał napastników i mieczem otwierał sobie drogę z jednego do drugiego pokoju.

U podwoi, wiodących do komnat córek, zatrzymał się z garstką drużyny Wilczyński. Ustały strzały. Miejsce, gdzie obie przeciwne sobie strony zgromadziły się, była wielka sala, po obu stronach wsparta kolumnami, ozdobionemi zawieszonemi portretami przodków. Tu spór miał być stanowczo rozstrzygniętym: albo zacny starosta uniży się, albo miecz swój przeciwko dziesięćkroć silniejszym podniesie przeciwnikom.

Okolo starosty zgromadzonych było sześciu wiernych sług jego. Inni, albo polegli, lub też pokryli się, zostawiając dobrego swego pana w moey najeźdźców.

Darwerd stał na środku, z hardo podniesioną głową i z szablą ku ziemi spuszczoną, lewą ręką pociągał niekiedy po zwierzechniej wardze, głaszcząc ulubiony swój wąs. Tłuszcza rozognionych napastników, zaległa całą salę i tak była skupioną, że prawie ramię z ramieniem, pierś z pierśią się stykała.

— Poddaj się i uznaj moją władzę. Ośmieliłżebyś się opierać woli króla?

— Nędzniku,— z godnością odparł Wilczyński,—o jakimże mówisz królu, komu rozkazujesz się poddać; aza-
liż nie widzisz w ręku Wilczyńskiego żelaza!... Wiedz o tem, że w rodzinie naszej, dopóty się broni nie składa, dopóki..

—Zupełna prawda,—krzyknął z okna głos jakiś. Cztery okienice wypadły i grom wystrzałów rozległ się.

— Uciekają bohaterowie, — ozwał się tenże sam głos, — bracia naprzód, przecież nam może postawią szlachetne swe czoła . . . cha . . cha . . cha!

I wielogłosowy, lecz prawie jedno-głosny rozległ się śmiech.

Walka zawrzała z całą zaciętością. Wilczyński ścigając uciekających, uniesiony zapalem, dostał się w środek nieprzyjaciół. Bronił się mężnie, ale dwakroć raniony, już widział wznoszące się ramię dla zadania mu śmiertelnego ciosu, gdy wystrzał obala przeciwnika, a pomoc nieznaną dłoń, odparłszy wrogów, chwyciła w powietrzu padającego na ziemię starostę.

Szlachta rozproszyła się na wszystkie strony. Ten kto dosiadł konia uszedł bez szwanku, lecz ci, którzy w odwrocie ostatnimi być chcieli, trupami zalegli siedzibę Wilczyńskich.

Gdy bandyci wspólnie z ludźmi starosty, zajęci są przezieraniem wszystkich zakątków obszernego dworu, zajrzyjmy do owej kolumnowej sali.

Buczys, ocaliwszy Wilczyńskiego, przyjął go padającego na swe ręce i zaniósł na sofę. Uplyw krwi z odebranych ran, pozbawił starostę przytomności. Ludwik nie mając czem zatamować płynącej krwi rannego, wziął świecę i chciał wejść przez drzwi, których poprzednio Wilczyński był bronił. Były zamknięte. Zakolatał. Nikt się nie odezwał, ranny zajęczał. Buczys wylamał drzwi, i pierwszą osobę jaką zoczył, była—Elżbieta.

— Znaleźliśmy się, — przebaknął Buczys.

— Jak się miewasz? — zawołała chytra kobieta i zbliżyła się zamierzając uścisnąć Ludwika.

— Zbrodniarko, — zawołał pierwszy, — tobież to chcieć mnie witać;... tobie, coś mi wydarła szczęście?

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy, — przerwała mu Elżbieta, — sumiennie ci bracie powiadam, żem odpokutowała.

— Zaprzestań; niechcę słyszeć twego usprawiedliwienia się... szarpij, szarpij i bandaży... może macie tu cerulika.

— Nie... czyś ty ranny?

— Starosta.

— O! mój Boże! ratujmy... Cóż to było, kto był sprawcą tej walki?

— Mordercy, — przeciągle i z dobitnością przemówił Ludwik.

— Zawsze jedno, czyliż nie przebaczysz.

— Niech ci Marja przebaczy.

— Mój Boże... Marja... i cóż Marja... przecież jej nie zabiłam.

— Dosyć, już mówilem, że nie żądam od ciebie tłumaczenia się; daj tylko starej bielizny, sam porobię bandażę.

— Zaraz, już idę . . .

Elżbieta zatrzymała się przy drzwiach.

— A cóż, nie idziesz?

— Idę, idę. — I znowu nie ruszyła z miejsca.

— Podła, — krzyknął bandyta, — myślisz, że umrze, nie... dopóki brat ma koszulę, dopóty Karolowi Wilczyńskiemu nie zbraknie kawałka szmaty na przewiązanie ran, zadanych przez nیکczemnych sąsiadów. Elżbieta otworzyła drzwi, skryła się do innego pokoju przed wybuchem gniewu Buczy-sa, który dobrze знаła, a tymczasem Ludwik, zrzucił kaftan i zdjawszy koszulę, podał ją i zajął się bandażowaniem ran starosty.

Zajęty tą czynnością, nie zważał, że podwładni jego weszli do sali i uszykowali się w milczeniu w półkole.

Ranny otworzył oczy.

— Kto tu?.... światło razi oczy.

Czywas zbliżył się do stołu i sprzątnął świecę.

— Jesteście?

— Wszyscy cali; — czy pójdziemy?

— Nie, zatrzymajcie się.

— Jakiż to głos, — słabo wyrzekł ranny.

— Człowieka.

— Człowieka?

— Jesteś chory, . . . mówić ci nie wolno.

— Nie wolno, — powtórzył chory, — i dla czego ograniczacie wolę moją?

— Dla twego dobra, jesteś potrzebny, masz dzieci, któżby miał nad nimi opiekę.

— Słusznie mówisz... lecz kto jesteś,... twój głos mi znany?

— Nie bąć zbyt ciekawym... uspokój się. Ile mnie się zdaje, rany twoje nie są niebezpieczne, ale potrzeba spokojności ciała i duszy,.. uważaj... wszelkie wzruszenia mogą ci szkodzić?

— Ale powiedz, kto jesteś?

— Buczys.

— Postrach powiatu, ów straszny rozbójnik?

— Ten sam; straszny dla złych; dla dobrych, człowiek.

— A mój Boże.....

Milczenie zaległo najzupełniejsze. Służący starosty weszli do sali. Buczys rozkazał im doglądać swego pana, sam zaś z Czywasem, poszedł do dalszych pokoi.

W ostatnim dopiero zastał kilka kobiet. Dwie z nich klęczały i modliły się, jedna drzemiała na krześle (była

to służebnica), a dwie stały przy oknie i cicho rozmawiały.

Buczys zbliżył się do nich, wziął starszą za rękę, długo wpatrywał się w błedniejące jej oblicze, a potem rzekł:

— Elżbieto! . . . widzę, że ty zajmujesz się wychowaniem dzieci mojego brata . . . źle, . . . bardzo źle.

— A to dla czego? — tłumiąc gniew zapytała Elżbieta.

— Niech ci na to odpowie moja żona.

— Marja . . . wieśniaczka, i cóżbyin z nią miała do mówienia, — odparła drżąca Elżbieta. W słowach jej było wiele dumy, ale także nie mało było strachu i wyrzutów sumienia.

— Tak . . . nie miałabyś nic z nią do mówienia, ofiara konająca przebaczyła ci. . . . może o tem dotąd nie wiedziałaś.

— Ja... ja.

— I ja ci przebaczam... chociażęś zbrodnią popełnioną wepchnęła mnie na czarną drogę zemsty i nienawiści.

— Karolino! — przerwała Elżbieta i skinęła ręką. Dziewczyna zrozumiała znak i odeszła.

— Wstydzisz się, jeśli się nie mylę; Bogu chwała, jest nadzieja poprawy. Nie chcę cię hańbić, pójdź, pomówiemy na osobności.

Buczys, właściwie Ludwik Wilczyński, podał jej rękę i oboje wyszli do sąsiedniego pokoju. Za nimi postępował Czywas.

— Pozostawcie mnie, — rzekł Ludwik do Czywasa, — i chciejcie oczekiwać w wiadomem miejscu.

Czywas wyszedł.

— Elżbieto, jesteśmy sami.

— Dwadzieścia lat niewidzieliśmy się, — zawołała Elżbieta — wiem, co za-

mierzasz mi powiedzieć; ale posłuchaj.

— Twojej mowy... zawsze obłudnej i zdradzieckiej.

— Zawsze kochającej.

Ludwik gorzko uśmiechnął się.

— Ha, nie chcesz mnie wierzyć... powiem prawdę, szczerą prawdę, na Boga przysięgam i na moją miłość. — Elżbieta chciała uściskać bandytę, ale ten odepchnął ją z wzdargą.

— Jestem sam jeden... możesz intrygować, tak jesteś zręczną, tak *niekczemną*, że sposobność ta może ci na wiele się przydać... ale nie mniemaj, abym kiedy dotknął się zbrodniczych ust, które siejąc słodycz, słodyczą mowy umiały zdradziecką ukrywać duszę.

— Kochałam i kocham.

— Dla siebie.

— Prawda!

— Ranny zajęczał... idźmy tam.

— Ja objaśnię....

— Nieco później.

Buczys nie słuchając dalszych słów Elżbiety, wyrwał rękę z jej dłoni i śpiesznie oddalił się do sali, gdzie ranny brat jego znajdował się.

Elżbieta zerwała się z krzesła, wyciągnęła ręce naprzód, tak jakby pragnęła przytrzymać odchodzącego, a potem zaciśnionemi pięściami uderzyła się gwałtownie w piersi.

— Straciłam go na zawsze... ale... jeżeli nie mogę być żoną, niech będę przynajmniej kochanką.... moja hańba, sromota, dla mnie karą, dla niego będzie zemstą.... a nad hańbą, nad potępieniem, nad zbawieniem, wyżej cenię jego uścisk... ha!... Elżbieto! szal cię opanował; gdzie twa silna wola, twój podziwiany rozum?... precz rozum, pamięć, precz świecie... ja go ko-

cham, . . . ja go muszę uścisnąć chociażby w grobie, o! ja się z nim razem zakopie, krzyż jeden będzie nad nami, a jeżeli nas tam zechcą rozdzielić, zburzę piekło, siłą zdobędę niebo, i będę z nim! . . . Marja ma pierwsze do niego prawo! — Nie, Marja go tak nie kochała. . . . tak precz nawet дума, rzucę się do stóp Marji, ona, co mi własną śmierć przebaczyła, ustąpi kochanka; — ja jej powiem o ja ją zaklnę

Zbytek uczuć pozbawił Elżbietę sił i przytomności, padła na ziemię, a na hałas powstały z tej przyczyny, wbiegły trzy siostry Wileczyńskie i omdlałą swą ciotkę ratowały.

Buczys także ukazał się w drzwiach, kiwnął głową, założył na piersiach ręce, przyciął wargi, popatrzył, zamknął drzwi i z zupełną spokojnością powrócił do brata Karola.

Elżbieta, siostra żony Wilczyńskiego, nie miała więcej nad trzydzieści ośm lat. Wiemy, że w tym czasie zbudzone zuśpienia namiętności, w najsilniejszym objawiają się ruchu. Kobieta, jeżeli szczerze nigdy nie kochała, w okresie tego wieku najskłonniejszą jest do miłości, i dla téj miłości poświęci wówczas *wszystko*, nic nie zostawi dla siebie, ani dla świata, całą moc uczuć swoich oddaje ulubionemu, narzuca się mu sama, a kiedy doznaje niewzajemności, zniża się do prośb, błaga nawet litości, i wyschłemi ustami zebrze miłosierdza, którego najczęściej nie zyskuje.

— Puście mnie, — przemówiła po jakimś czasie Elżbieta, — jam nie słaba, zawrot głowy obalił mnie na ziemię; idźcie spać, dzieci, idźcie, — powtórzyła, wiedzając ociągające się swoje

siostrzenice,—ja potrzebuję pozostać sama.

Elżbieta odebrała w rodzicielskim domu wysokie naukowe wykształcenie, ale, gdy starano się umysł jej wzbogacić mnogimi wiadomościami, zapomniano zupełnie o sercu. Wskutek rozlicznych wypadków, majątek jej rodziców znacznie się zmniejszył; młodsza siostra, po której pozostał wdowcem Wilczyński Karol, cios ten zniosła bez szemrania, lecz Elżbieta stratę tę uczuła tak bardzo, że jakąkolwiek ceną pragnęła ją powetować.

Ta chciwość posiadania złota, złączona z pychą i gwałtownemi namiętnościami, stała się powodem jej upadku, jej tajonych zbrodni.

Skoro pozostała sama, Elżbieta napisała następujący list, malujący dostatecznie jej charakter, chociaż i z po-

przedniczych jej wyrażen, nie małe już o takowym mamy wyobrażenie.

„Ludwiku!

Nie chciałeś wysłuchać mojej mowy, raczysz zapewne odczytać to pismo. Ponieważ w niem najrzetelniejszą wykrywam prawdę, możesz tem mojem zeznaniem posłać mnie na rusztowanie; możesz zemstę swą, jeżeli w twem szlachetnem powstała ona sercu, krwią moją zaspokoić. Uroczyście zezwalam na wszystkie twe działania, i, jeżeli ohydna śmierć moja, zdola ci przywrócić szczęście, którem ci wydarła, nie wahaj się, uderz w moją głowę zgubnym ciosem, a tym sposobem karząc niebaczną kobietę, poświęć jej przynajmniej jedną łzę, jedno westchnienie.

Nie miałam więcćj nad sześć lat, kiedy przechodząc przez jedną z wsi ojca mego, spostrzegłam małą dzie-

wczynkę, wprawdzie usmoloną, ale ładną. Jej oczki niebieskie tak wymowne na mnie rzuciły wejrzenie, usteczka tak czule się uśmiechnęły, że, wróciwszy do domu, prosiła matki, aby dla mojej zabawy, młodą wieśniaczkę do dworu przyjęła.

Stało się zadość żądaniu. Naza jutrz Marja gościła w dworze. Przybrana w czystą sukienkę, umyta, uczesana, stokroć piękniejszą się stała. Rumiane buziaczki, oczy żywe lecz łagodne, pogodne czoło, małeńki nosek, wargi kolorem róży pociągnięte, włosy jasno-blond, brwi nieco ciemniejsze i długie rzęsy, zwiastowały, że Marja w swoim czasie bóstwem okolicy być może.

Z początku spędzałyśmy czas na dziecinnych igraszkach. Marja, tak była uległa, tak słodka i cierpliwa, tak zgadzająca się z moją wolą, której

nie lubiłam aby się opierano, że pokochałam ją mocno, i lubo dziecięciami byłam, uczyniłam postanowienie, że się do śmierci nie rozłączemy. Potem miało mnie oddać do klasztoru. Gdy wieść ta rozeszła się po dworze i zaczęto czynić potrzebne przysposobienia, nagły smutek osiadł na zawsze wesolem Marji czołe. Pojęłam przyczynę, myśl rozdziału kilkoletniego z przyjaciółką, jaka poprzednio nie przeszła przez mój umysł, zjawiała się nietylko w mojem sercu, ale i w głowie. Ona, co mnie tak bardzo kochała, miałaby być niższą odemnie, nie pojmowałaby potem moich uczuć, mowa moja nie byłaby przez nią zrozumiana. O! nie,.... na to nie powinnam była zezwolić, jeżeli nie dla Marji, to dla samej siebie; tak, Ludwiku, już i wtenczas byłam występna; pragnęłam, żeby Marja wspólnie ze mną nabywała wiadomości, że-

by te wiaćomości, kształcąc nasze umysły jednostajnie, zrodziły także zgodność uczuć, połączyły dusze nasze w całość harmonijną, której stróny brzmieć miały tonami chórów niebieskich; ale nie pragnęłam tej wspólności dla Marji, tylko dla siebie; chciałam zapewnić, utworzyć sobie duszę, któraby najmniejsze wrażenia moje, echem powtórzyła; aby ta dusza była dla mnie, wyłącznie dla mnie na całe życie.

Ale wkrótce widoki moje ujrzałem zawiedzionemi. Marja rozwinęła nadzwyczajne zdolności, pojętność jej była zadziwiająca, o wiele mnie wyprzedziła. Zawieść dręczyła mnie, i tem bardziej jątrzyła moje serce, że Marja z każdym dniem umysł swój bogacząc, przemawiała do mnie tak pełnym wdzięcznej miłości głosem, tak barwnymi i jednającemi serce wyrazy, że

w chwilach, kiedy słuchałam słów tego czystego Cheruba, zapominałam o wszystkim, o jej wyższości nademną,—ale, gdy wśród mozolnej pracy jakiej oddawałam się, aby wyrównać Marji, cierpki znój strudził moje zmysły, wówczas rozpacz ogarniała duszę, biegłam do innych rówieśniczek i tam zbierałam nasiona intryg dziecinnych, domowych, które później wydały owoce w społecznem życiu.

Usiłowałam zwyciężyć siebie. Na próżno jednakże tłumaczyłam, iż Marja nie jest winną, że niesłusznie względem niej postępuję, natenczas gdy ona mnie najczulszą wyplacała się przyjaźnią. Myśli takie, pełne wrzacej niechęci i niespokojności, bezsenne noce, zazdrość, usiłowania, wszystko to wycieńczały moje żywotne siły. Zapadłam w ciężką chorobę. Gorączka, wprawiała mnie w bezprzytomność,

stan ten, jak powiadano, trwał dni kilka. Pewnej nocy, spadła zasłona chorobliwej niewiadomości, i przytomność wróciła. Słabym wzrokiem powlekłam po smutnej sali infirmerji, siostra miłosierdzia spała przy piecu, Marja klęczała przy mojem łóżku! — Ludwiku, nie uwierzysz jaki nawał uczuć przytłoczył wtenczas pierś moją; — dzieckiem byłam i przez dziecko dozieraną. — W téj młodocianej duszy mieściło się wszystko, co świat ozdobić, bliźnim użytek, a wybranemu szczęście zapewnićby mogło.

Wróciliśmy do domu, ja, nie osłaniam się tu ani skromnością, ani przesadzam, ja mówię, czułam wyższość swą nad okolicznemi kobietami, ale Marja, to był jeniusz, był to anioł, nie wiem jakby można ją opisać, — nie znajduję wyrazu na odmalowanie zdol-

ności i przymiotów łączących się w jej osobie.

Pracowałam ciągle, koniecznie chciałam stanąć na stopniu tej doskonałości, jaką Marja zajęła. Z przykrością jednakże przekonałam się, iż zamiaru mego nie dopnę. Nie uwierzysz jaka burza miotła po tem smutnem odkryciu moją duszą. Rozpacz zjadliwa nurtowała moje wnętrze;—ty, Ludwiku, znasz rozpacz,— czujesz przeto, jakie jej postępy i własności, tobie nie potrzebuje opisywać okropnych tych cierpień, bo nawet nie wiem czylibym mogła dokładnie je określić. Krwi z żółcią zmieszanej i mózgu spalonego wściekłością, potrzebaby użyć na atrament, a za tłomacza myśli, gniewionego troską, rzucanego po pierśsiach, wzdętego żalem, boleścią piekła prześladowanego serca!!

Tak, ani przyjaźń tkliwa, ani starania rodziny, ani wpływ religji, nie mogły mnie uspokoić! Duma, którą tak wysoko stawiałam, była straconą z swego majestatu przez jedną... wieśniaczkę! a na domiar poniżenia mego, wieśniaczka ta rozlewała około siebie urok anielskich czynów. O! w dzień Marja była dla mnie bóstwem, — bo słyszałam błogosławiące mnie głosy za jej uszczęśliwienie; w nocy, wołałabym widzieć miliony kościstych popróchniałych szkieletów, wołałabym znajdować się w kole szatańskich potępieńców, aniżeli mieć przed oczyma obraz Marji!!

Niekiedy zamierzałam wrócić Marję do pierwotnego jej stanu, uczynić z przyjaciółki znowu poddankę, nakazać jej zaślubić któregokolwiek z nieokrzesanych wieśniaków. Czulałam, że to dla delikatnej duchowej jej istoty,

byłoby najsroźszą katuszą, tem więcéj, że Marja przy całej swéj powolnéj łagodności, nie tała się, że jeżeli znajdzie odpowiednich myśli człowieka, odda się mu z całą siłą młodości, żywéj, ognistej kochającéj. Ale rodzice moi żyli jeszcze, i pomimo, że dobrowolnie prawie rządziłam niemi, byliby oparli się przynajmniej w tym przypadku, despotycznemu żądaniu.

Niedługo wojskom naszym kazano zbierać się około Krakowa; puszczo-no wieść, że będą obozować na pograniczu węgierskiem, aby oddziały turreckie nie pogwałciły posiadłości naszych. Ojciec wyjechał.— Matka była słabowitą, od wielu lat cierpiała na raka, a po odjeździe ojca nie opuszczała łóżka; młodsza moja siostra była oddaną do klasztoru. Sama więc jedna rządziłam dobrami. To niespodziane wyniesienie się, myśl, że na-

stąpi wojna, z której może ojciec nie powróci, zwiększająca się choroba matki, napelniały mnie nadzieją, że prędzej czy nieco później, będę samowładną panią swego losu, bogatą, poważaną. Ta nadzieja i pomoc, jakieś doświadczałam w gospodarskich zatrudnieniach od dobrej Marji, zmniejszyła cokolwiek moją ku niej nienawiść, a przekonanie, że Marja bezpośrednio od mojej zależy woli, uspokoiło mnie i wróciło naturalne ruchy ciała i organ głosowi, który w ostatnich czasach stał się ochrzypłym, opryskliwym i dzikim.

W dzień pamiętnego ocalenia niemieckiej stolicy przez męstwo nasze, moja matka skoła. Wówczas nie wiedziałam jeszcze, że w tymże dniu mój ojciec wyzionął bohaterskiego ducha w wiedeńskich przykopach, — dwie takie straty możeby mnie były

więcej wzruszyły, śmierć matki nie wycisnęła z moich oczu ani jednej łzy! Rzekniesz, że podła, tak jak niedawno ciężki ten wyraz z ust twoich uderzył w moje łono; nie wiem, może słusznie osądzisz, ale ja inaczej wtenczas myślałam: choroba, długa, dolegliwa, męcząca matkę i ją otaczających, przykrzyła się bardzo nie tylko mnie ale i domownikom; a gdy lekarze oświadczyli, iż uratować jej nie podobna, błagałam niebo o przyśpieszenie chwili skonu. Przyznać muszę, że jedna tylko wielkoduszna Marja, najwięcej poświęcająca się mojej matce, czuwająca dniem i nocą, najniższe dopełniająca posługi, rażona smrodliwym wyziewem śmiertelnej rany, nie przykrzyła sobie, i przez ostatnie dwa tygodnie nieodstępna była przy łóżku chorej, pamiętała o jej duszy, drżącą ręką podawała święconą gromnicę,

pobladłemi ustami czytała ewangeliczne słowa, i z wielkim *Amen*, Bożej mowy, zamknęła oczy mojej nieszczęśliwej matki.

Na wiejskim cmentarzu wzniósł się marmurowy grobowiec. Z początku codziennie go odwiedzałam, znajdując zawsze świeżemi ubrany kwiaty, potem rzadziej, ale kwiaty zawsze były, potem nastąpiła zima, — w piękny dzień przejeżdżając około murów cmentarza, spojrzałam na wzgórze, gdzie zwłoki matki mojej spoczywały. Na białym marmurze, wily się girlandy czerwonej jarzembiny, zarzucone od krzyża do koła postumentu i końcami drugimi przyczepione do gałęzi czterech ciemnych świrków. Kto zasadzić kazał drzewa, kto zdobi monument czerwoną roślinną przepaską? Ta myśl mnie uderzyła, a w tej chwili, Marja obok mnie siedząca westchnęła. Głos

wewnętrzny odpowiedział memu za-
pytaniu. Zwróciłam oczy na Marię,
ona swoje spuściła, ale ja dostrzegłam
przezroczystą kroplę, która zawisała
na jej rzesach, pochwyciłam ją za rę-
kę wznoszącą się do czoła, rzuciłam
się w jej objęcia i czule uścisnęłam.

Było to ostatnie szczere pocałowa-
nie, jakie dałam Marii; późniejsze peł-
ne obłudy, kryjące zbrodnicze zamia-
ry, posłużyło w oczach świata do
zmniejszenia mojej winy, ale w prze-
konaniu mojem potępiły mnie, i ja-
rzmio moralnych cierpień włoczyły
na sumienie moje.

Z przybyłą wieścią o śmierci mo-
jego ojca, jakiś krewny, który wujem
zwać się kazał, objął zarząd majątku.
Gniewu mego nie zdołało nic powścią-
gnąć, wiedziałam bardzo dobrze, że
tacy panowie opiekuni najczęściej sie-
roty na zebrany chleb wysyłają, opie-

rałam się przeto wszelkim jego rozporządzeniom, a z natury będąc śmiałą, najmniejsze wydatki sama kontrolowałam. Pomimo jednakże, że wiedziałam, wiele z dochodów uczyniono wydatków, a wiele w ręku opiekuna znajduje się, ten, pewnego dnia zniknął i wynalezionym dotąd nie został. Z zniknięciem jego, srebra, klejnoty i gotowe pieniądze uleciały z naszego dworu. Straty były ogromne. Prawie połowa po rodzicach spadku zawierała się w uwieczionych skarbach, nam tylko pozostały cztery wsie. Kto inny byłby poprzestał na tem i żył spokojnie, ale ja, co koniecznie chciałam być bogatą, nadzwyczajnie uczulałam tę stratę. Wynagrodzić ją zamierzyłam jakimkolwiek sposobem i ufałam sobie zupełnie.

W téj to epoce przybył brat twój do Leszna. Ojcowie nasi ułożyli po-

między sobą związek jego ze mną. Nie bardzo jednakże układ ten zgadzał się z mojami żądaniami, nawet chciałam go zerwać i zerwałam. Tak w życiu swobodnem zasmakowałam, iż nie myślałam bynajmniej oddawać się w jarzmo małżeńskie, tem więcej, że nie mogłam pojąć, jak na całe życie łączyć się z człowiekiem, którego nie kochałam a nawet nigdy nie widziałam, a do tego jeszcze z człowiekiem, o którego surowości powszechnie mówiono, chociaż z drugiej strony zaćność charakteru za przykład przedstawiano.

Pamiętasz zapewne, kiedyście obadwaj z kuzynem waszym, kanonikiem, z Leszna do nas przyjechali. Po owych śmiesznych perorach, oświadczyłam, że poślubiłam się Bogu, i że moje miejsce siostra z chęcią zastąpi. Kanonik, wybiegowi memu nie śmiał się

sprzeciwić i brat twój zaślubił młodszą moją siostrę.

Dla Karola było to wielkiem szczęściem; siostra bowiem moja, postępowała drogą przez Marję wytkniętą, cieszyłam się z tego bardzo, a więcej byłabym rada, gdybym sama panując nad pychą, mogła była umysł swój skierować na ścieszki szczytniej prawdy.

Wierzaj mi, Ludwiku, że te wewnętrzne walki wiele mię kosztowały, ale jeżeli udawało mi się prostować przesądne i nędzne umysłu swego wyobrażenia, najmniejszy wypadek obudzał we mnie namiętności, tłumione wprawdzie, lecz nie wykorzenione.

Strata majątku tak dalece dotknęła mnie, że nie zważając na skutki, przysposabiałam plan uciążenia większemi powinnościami kmiotków, i tak niezamożnych. Plan ten wstrzymany

został obrzędem ślubnym i uroczystościami weselnymi twego brata z moją siostrą.

W tym to czasie, jak ci wiadomo, przemieszkivaliśmy pod jednym dachem. Twoja młodość, cichość i skromność, była dla mnie nie raz jeden przedmiotem żartów, i dwójsznaczników dosyć złośliwych. Mniemałam cię tak ograniczonym, że z pośród wielu gości, ciebie jedynie obrałam za cel niewczesnych moich docinków.

W kilka dni później Marja zwierzyła się z swoich uczuć. Smiałam się, jak to mówią do rozpuku. — Chwytaj, łapaj dzieciucha, jeżeli w siatkę lizie, — rzekłam Marji. Do jednej ofiary przybyła druga; ale jeżeli ty byłeś delikatnym i nieodpierałeś nigdy wymierzanych na się pocisków, Marja, na śmiech mój, odpowiadała pochwałami dla ciebie; nawet, pewnego razu, z takim unie-

sieniem o tobie mówiła, że potoczysta, żywa, kwiecista jej mowa, innemi mnie o tobie napoiła wyobrażeniami.

Mowa ta przeniknęła mnie, serce moje po raz pierwszy zadrżało, a u namiętej kobiety potrzeba jednego tylko silniejszego uderzenia, aby je wprowadzić w konwulsyjny ruch, aby zapalić wyobraźnię i stworzyć ideę miłości.

Całą noc nie spałam. Nie wiedziałam czyli Marja pozyskała już twoją wzajemność. Wyznam otwarcie, żem się najbardziej tego obawiała. Tak więc moja miłość powstała z krasomówstwa zacnej przyjaciółki, i przetrwać miała całe życie!!

Przypomnij, że następnego dnia zupełnie inną byłam względem ciebie. Niezwykła grzeczność jaką otoczyłam ciebie zwróciła uwagę kanonika, nawet, zdaje mi, uczynił on małą w tem

uwagę. Zapłonilaam się. Tyś zwrócił na mnie duże swe oczy, a zwierciadlany blask ich, odbijający obraz szlachetnej duszy, wgłębił się w moje jestestwo.— Zachwycenie moje stało się jawnem i wyrazistem, po twojej mowie, którą z takim wdziękiem i powagą, bez przesady, w przedmiocie uczonym miałeś. Radość twego nauczyciela, kanonika, ożywiająca wszystkiego giestą, uniesienie, którego nie mógł powstrzymać, jednogłośnie pochwały, toast twego zdrowia wzniesiony przez najstarszego, wiekiem ubielonego, patriarchę tego zgromadzenia, starca,— a nadewszystko, boska skromność, jaką promieniała twarz twoja,—objęły mnie ogniem gwałtownym,— wyszłam z sali, schroniłam się do swojej komnaty, zamknęłam jej drzwi, zasłoniłam okna, i, Ludwiku, oddałam się całemu wybuchowi pier-

wszłej miłości: modliłam się, płakałam, śmiałam się, tańczyłam, rozmawiałam z tobą, palające usta tuliłam do martwej poduszki; — ach! wtenczas byłabym oddała Marji cały majątek, aby tylko ona przestała cię kochać, i praw swoich dobrowolnie mnie ustąpiła.

Marja, nie domyślając się wcale uczuć moich, z najdrobniejszymi szczegółami opowiadała mi rozmowy prowadzone z tobą. Z początku starałam się pokryć przykrość, jakiej z tego powodu doświadczałam, ale później chwyciłam się innych środków. Wystawiałam Marji, że ty jesteś niepełnoletnim, nie masz prawa rozrządzania swoją osobą, że ona zapomina się, dając przystęp dumie do serca swego; bowiem będąc wieśniaczego stanu, niepowinna myśleć nawet o związku z potomkiem szlacheckiego szczepu.

„To dla mnie,” — na uwagi te odpowiedziała Marja, — „nie ma na ziemi szczęścia, bo czyliż znajdę człowieka stanu mego, któryby podobne mojemu odebrał wychowanie? — jeżeli są wieśniacy, którzy korzystając z łaski, możnych wykształcili serca i umysły, to ci najwięcej albo w duchownym, albo też w rycerskim znajdują się kole. Jedni, służbie duchowej poświęcają, cy się, nietylko nie są dla mnie, lecz i dla świata całego; drudzy, w znojnnych bojowych rozprawach, dobijają się szlacheckiego klejnotu. Wracają oni osiwiali, — a ja, mogłabym ich szanować jako ojców ludu, lecz chociaż,” — smutno dodała, Marja — „nigdy... tylko jednego Ludwika. Nie będzie moim Ludwik, ja także innego być nie chcę.”

Marja nigdy w podobny sposób nie oparła się jeszcze moim uwagom.

Gdybym ciebie nie kochała, ucieszyłabym się, przekonywając się, że i w niej znajduje się chociaż cień uporu i zarozumienia, bo czystą jej i stałą miłość, tak podobano mi się uważać;— ale znajdując opór nie tylko mojej mowie ale i życzeniom serca, okazałam nieukontentowanie, lubo widziałam, że Marja, już z przypomnienia stanu jej urodzenia, który poniżałam rozmyślnie, dotknięta była z najdelikatniejszej strony.

Cieszyłam się jej smutkiem;— szatan szeptał mi w ucho, a ja chwytalam z chciwością rady złego ducha i obmyślałam środki zniweczenia twoich obietnic, a nadziei Marji.

Pieniądz, znajdzie zawsze podłych służalców! Lokaj kanonika został przekupiony, śledził on twoje najmniejsze kroki. W dworze dwoje dziewcząt dopełniało podobnej posłu-

gi co do Marji. Co wieczór składały mi zdanie sprawy z Marji czynności, pospolicie kończące się słowami: „Modliła się na grobie matki pani dobrodziejki,” — „zasiała kwiatki,” — „meh z kamienia oczyściła,” i t. p.

W każdym razie oddawałam Marji sprawiedliwe w duszy własnej pochwały. Jeszcze raz usiłowałam uleczyć się. Modliłam się gorąco, błagałam Boga, abym przestała cię kochać, a z każdą godziną więcej kochałam! Nakoniec, nie mogąc znaleźć hamulca na powstrzymanie namiętności, zarząd gospodarstwa powierzyłam Marji, a sama codziennie jeździłam do Leszna, i dopóty w tem mieście bawiłam, dopóki ciebie nie zobaczyłam.

W świąteczne dni odwiedzałam kanonika. Spokrewnienie usprawiedliwiał mnie zupełnie. Odwiedziny te i rozmowy miane z tobą, do reszty

mnie owładnęły. Za świat cały nie ustąpiłabym cię ani Marji, ani żadnej innej kobiecie. Kanonik pytał czasem, kiedy zamierzam dopełnić ślubu świętego, ja go zbywałam nic nieznaczącymi odpowiedziami, i myślałam jak najspieszniej zapelnie przeciwnie zawrzeć śluby.

Niekiedy zdawało mi się, że twoje oczy nabierały większego ognia, że przemawiały, ilekroć ku mnie wzrok swój zwróciłeś. To przywidzenie budziło w sercu mojem najslodsze nadzieje, a gdy z kolei, i wy prawie w każdą niedzielę i dzień świąteczny odwiedzaliście wiejski mój domek, obawiając się, aby to nie posłużyło do zawiązania tajemnych stosunków pomiędzy tobą a Marją, zamierzyłam tę ostatnią usunąć od siebie.

Pierwotny mój plan zgębienia Marji, przez połączenie jej z pracowitym

lecz nieokrzesanym kmiotkiem, po długim namyśle odrzuciłam. Opiekuńcza Opatrzność jeszcze raz rozciągnęła łaskawą swą prawicę nad moją głową; uczułam, całą zbrodniczość, jaka w zamiarze tym znajdowała się; potem, pewnego dnia, z rana, oświadczyłam Marji, że potrzebuje ona wejść w świat, i że wejście to ułatwiam jej w charakterze domowej nauczycielki w znakomitym, bardzo odległym od siedziby mojej, dworze.

Marja nie opierała się mojej woli, przyjęła z poddaniem się wygnanie, i okazała gotowość do natychmiastowego nawet wyjazdu.

Ta niepojęta łagodność, znowu dała mi wiele do myślenia. Następnego dnia, Marja usłyszała przeciwne poprzedniemu postanowienie. Usprawiedliwiałam się przed nią, że rozstania się naszego znieśćbym nie mogła i prosi-

lam ją o przebaczenie, za poświęcanie
 jej przyszłości, uczuciom mojej duszy.
 Zaczna dziewczica łzami zalane z rado-
 ści lica tuliła na moje łono. — „O!” mó-
 wiła ona, „jakże jesteś wielką, Elżbie-
 to; ten nowy dowód twojej przychyl-
 ności, jakąż napawa mnie radością.
 Pani moja, dobrodziejka, opiekunko,
 różyczka światłości rozumu mego,
 wdzięczność moja będzie dozgonną;
 ja przeto ciebie nie opuszczę, o! Boże!
 jakież szczęście, jak godny zazdrości
 los! Wszystko ci ofiaruję, pracę, krew,
 życie, rozum, a nawet serce!” — Jakto,
 zapytałam jej, nawet i serce? — „Tak!”
 odrzekła uroczystym głosem Marja,
 „jeźlibyś żądała, nawet serce, na za-
 wsze, do śmierci; — ale, pani, ty jesteś
 tak dla mnie dobrą, że przecież nie-
 chciałabyś na kochającą ciebie Marję,
 okowy smutku wkładać, prawda, El-
 żbieto?” — A gdyby przeciwnie było,

zaledwie mogąc dyszeć, wymówiłam, czując, że chwila działania nadeszła, ale była okropną, tak. . . .

„Okropną,” wykrzyknęła przeraźliwie pisząca, dłonią w czoło uderzając się.

Buczys, w pobocznym pokoju znajdujący się, usłyszał ten wykrzyk rozdzierający, rozpaczliwy; położył na sercu rękę, a potem drugą pierwszą przycisnął, bo szlachetny organ uczucia, za nadto mocno o prawa przebaczenia dopominał się.

Po niejakim czasie, Elżbieta znowu pisać zaczęła.

..... „Dla winnej wdzięczności i tę ofiarę składam,” z godnością przerwała Marja, „nie taję, że jest to największą, jakiej po mnie wymagać można, ale dla mojej Elżbiety, wyrzekam się . . . Ludwika!” — Marja zbladła. . . . wargi drżały, oddech w piersiach

miała zatamowany. Przywołałam służącą, i rozkazawszy tejże troskliwie mieć staranie o zdrowie prawdziwej przyjaciółki, opuściłam pokój, aby umysł biednej dziewczyny mógł się uspokoić, i z odebrany'm razem nieco oswoić.

Nadto dobrze znałam charakter Marji, i nie wątpiłam o danem przez nią przyrzeczeniu. Zapomniałam zupełnie o jej cierpieniu, oddałam się najzupełniejszej radości, a imię Ludwik, po milion razy powtórzyłam.

Odtąd nie ukrywałam przed Marją stanu mego serca. Jak ona była dobrą! Inna kobieta możeby starała się wynaleść w tobie jakie wady, aby ostudzić zapaly rywalki; Marja przeciwnie, nie tylko że z każdym dniem wynajdywała w tobie nowe przymioty, ale obok tego zawsze za szczęśliwą się poczytywała, iż skarbem

podobnym mogła przysłużyć się przyjaciółce.

Ale ty, pomimo okazywanych przeze mnie dla ciebie względów, byłeś na nie zupełnie obojętnym. Staralam się z tobą być sam na sam, mówiłam o przywiązaniu, o miłości, mówiłam o wspólnem szczęściu zespolonych skłonnościami serc;—ty niekiedy westchnąłeś, lekko ścisnąłeś rękę; ja koniecznie chciałam wyznania, a zyskać je w żaden nie mogłam sposób.

W tym czasie odziedziczyłam z siostrą, a twoją bratową, znaczny majątek, który nie tylko powetował poniesione straty, ale o wiele bogatsze mi, nad poprzedni stan, nas uczynił. Otworzyłam dom. Mnóstwo gości zapelniało mój dwór, otoczył mnie tłum wielbicieli natrętnych do naprzykrzenia. Nie uwierzysz jak przykre są kobiecie miodowe słówka, dzień cały

pochlebnie jej sypane; zniosłabym je najcierpliwiej, gdybym przynajmniej miała nadzieję, być wynagrodzoną w niedzielę przez ciebie, słowem: „*kocham cię.*”

Kanonikowi, waszemu krewniakowi, nie podobało się moje postępowanie; nawet pozwolił sobie uczynić pewne przełożenia. Idę za mąż, odpowiedziałam mu. Kanonik zamilkł i więcej już w tym przedmiocie nie odezwał się, a ja, chcąc wzbudzić w tobie zazdrość, z pomiędzy starających się o moją rękę, wybrałam bogatego, starego, bezdzietnego, bez familijnego męża. Na chwilę ogromne jego bogactwa zaślepiły mnie, ale, poczekaj, jeszcze połowy nie powiedziałam prawdy; może nie zechcesz uwierzyć moim słowom; — sama wzdrygam się na wspomnienie okropnych tych

wypadków, jakich sprawczynią byłam.

Narzeczony, zaślepiony młodością, urodą, wabnością, którą rozwinęłam z całą sztuką kokiетки, aktem przedślubnym zapewnił mnie jedyną spadkobierczynią rozległych swoich włości;— pierwszy punkt mojego planu został pomyślnie załatwiony.

Związana uroczystemi węzłami, w godzinę po świętej a dobrowolnej przysiędze, knowałam zdradę. Ludwik musi być moim, mówiłam w duchu do siebie, ale Ludwik kocha Marję!— Zwiążę ich, pozbawię środków utrzymania, uczynię zawisłemi od mojej woli. Ludwik jeżeli mnie kocha, jeżeli mnie nienawidzić nawet będzie, dla szczęścia Marji, dla jej bytu, musi skłonić się do moich żądań.

Zbliżałam was, dawałam sposobność częstszego widywania się, mó-

wiłam Marji o uleczeniu się z szalu miłości, powiadałam że jestem szczęśliwą, i tak często to powtarzałam, iż czysta dziewica zawierzyła oświadczeniom moim.

W dzień Marji urodzin wstałam rano, z cichością, na palcach weszłam do jej pokoju, zbliżyłam się do łóżka, ucałowałam kraśne jej usta, złożyłam bogaty podarek, i głosem, któremu-by Chrystus nawet zawierzył, rzekłam: Marjo! zwalniam cię od dalszego słowa;—jeżeli Ludwik do szczęścia twego potrzebny, pozwól, abym przyspieszając wasz związek, mogła wynagrodzić w części cierpienia, jakich z mojej przyczyny doświadczałaś.

Marja, jakby na głos archaniła trąby, zerwała się. Biedna, radość i wdzięczność, niedozw olały jej ani mówić ani płakać. Padła mi do nóg, chcia

łam ją podnieść, ale tak mocno ścisnęła moje stopy, że z objąć jej wy dostać się nie mogłam.

Ten dzień, byłby dniem najpiękniejszym życia mego, gdyby czyny moje nie miały skrytych zamiarów.

W następną niedzielę, pojechałam z Marją do kanonika. Był to chrześcijanin duchem, ale nie nazwiskiem. Pragnąc jak najspieszniej wszystko ukończyć, objawiłam mu wasze życzenia. Staruszek wysłuchał, uśmiechnął się, łagodnie wyrzekł: „trochę zawczesnie,” ale pobłogosławił i Marję przyszłą swą synowicą nazwał.

W dwa dni później posłaniec mój wiozł listy do twego ojca. Listy pochodziły odemnie, ale pisane były zmiennymi charakterami i opatrzone podpisami zacnych, wiarogodnych obywateli. Zwiastowały, że Marja prosta wieśniaczka, bez żadnego ukształ-

cenia, namiętna pijaczka, kobieta rozpustna. Posłaniec odebrał z rąk moich znaczną kwotę, i miał zabawić w Krakowie kilka tygodni, aby mógł listy doręczać pojedynczo przez wynajmowane osoby. I tu było obrachowanie. Gdyby od razu tuzin listów w jednymże przedmiocie traktujących, odebrał twój ojciec, mógłby uważać to, za jakieś sprzysiężenie się, za sieć intrygi. Pisma zaś doręczane mu co dni kilka, wywarły wpływ przewidywany. Utrzymywały go one w stanie ciągłego wzburzenia i niechęci, a gdy oprócz tego ojciec twój zajęty był wówczas zamężciem Klary, (którą potem porwał wasz przyjaciel, Tatar) i polegał zupełnie na zdaniu stariej ochmistrzyni, przekupionej przezemnie, nie wątpiłam, że stanę u zamierzonego celu. Tymczasem dzień waszego związku o ile można przyśpieszałam.

Ty, nie mogąc doczekać się zezwolenia ojca, pisałeś kilka razy do niego, ale listy te były przejmowane. Nie chciałeś nic uczynić bez jego zezwolenia, a ja traciłam nadzieję. Ludwik namyśla się, mówiłam do Marji, on ciebie nie kocha, — bo gdyby kochał nie odwróciłby chwili, zbliżenia której miłość najbardziej pragnie. Temi słowami zasiałam niespokojność w duszy Marji, i temi także pogłoskami obudziłam dumę twoją. Myśl, że niedowierzają twemu charakterowi, i sądzą cię podłym być zwodzicielem, usunęła wszelkie zastanowienie, a ja z swojej strony przekładałam, iż jeżeli ojcu twemu związek ten niepodoba się, to długo trwać nie będzie mogło, i że Miecznik *musi* pokochać Marję, którą wszyscy ubóstwiali.

Potrzeba jeszcze było skłonić do wspólnego działania kanonika. Ale sta-

ry, w którym mniemałam najsilniejsze znaleźć przeszkody, uległ sile wymowy, i dzielnie popierał rozumowania moje. Wówczas nie śmiałeś się opierać—i Marja, ów anioł ziemi—stała się twoją na zawsze.

Jeszcze nie wyszliśmy z kościoła a już do ojca twego zdążał jeździec z nowiną. W piśmie ją zwiastującą, tyle było szyderstwa, tyle pośmiewiska, tak wiele mówionem było o twojem lekceważeniu woli ojcowskiej, o mnogich występkach Marji,— że w niespełna dwóch tygodniach, odebrałeś przekleństwo i wydziedziczenie!!

Tu rozwinęło się obszerne pole do działań moich. Młodzi, niedoświadczeni, do ciężkiej pracy niezwyčajni, bez grosza; jakże łatwo podbić ich sobie, na zawsze ująć w kluby swej woli.

Biedni ludzie, rzekłam do mego męża, co oni będą robić? — Jakże Marja ładna, ta bladość jaką się pokryły jej policzki, stokroć ją czyni powabniejszą. I opisywałam z taką siłą wdzięki Marji, że pozbawione ognia oczy mego starego małżonka, zaiskrzyły się, krew ogrzała pooraną twarz i zasiłiła kolorem pobladłe usta.

Dobrze, pomyślałam, stary będzie się durzył w Marji, ja zwabię przecież w objęcia swoje Ludwika! O! przy pomocy dwóch najemników, którzy powrócili z Krakowa, spodziewałam się dokazać cudów, nie będąc posądzoną o związek z piekłem.

Od ciebie, jeszcze wtenczas, zależało uczynić mnie jeźli nie dobrą, to przynajmniej nie zbrodniarką — aleś ty, rozkochany w Marji, uważałeś we mnie przyjaciółkę, nigdy zaś kochankę. Cóż mi było po przyjaźni, kiedy

kochałam ciebie nad siebie, ale także i dla siebie tylko!

Mój stary ubolewał ciągle nad waszym losem. — Staraj się im pomódz, — rzekłam na liczne jego utyskiwania.

Stary zamyślił się.

O czem ty myślisz, mówiłam, lubo wiedziałam dobrze, że w nim nie uczucie ludzkości przemawiało za wami, ale rodząca się namiętność, którą raz pokonać, to znówu bardziej jeszcze chciał rozognić; o to siadałam do kolaski i zwiozę ich tutaj. Mamy dosyć, do zbytku, przecież i dla nich wystarczy; będziesz miał z kim grać w warcaby, bo powiem ci prawdę, że ta zabawa mnie nudzi. Ludwik grać umie także w szachy, będziesz mógł korzystać, a ty tak pragnąłeś nauczyć się grać w szachy. — O! jedź, jedź, odpowiedział mi mój małżonek, przywieź ich tu, to bardzo przyjemni ludzie.

Nie potrzebuję ci opisywać, w jaki sposób skloniłam was do przyjęcia przytulku w domu moim, dosyć, że w południe wyjechałam do Leszna, a wieczorem siedzieliśmy już razem przy wiejskim kominku.

Od rana do późnej nocy grać ciągle w warcaby lub szachy, to trochę nudno, a jeszcze dla takiego jak ty byleś żywego młodzieńca. Pozbawiony ruchu, mizerniałeś. Zwróciłam na to uwagę Marji, która wyręczała ciebie, a tymczasem mąż jej zastępować ją musiał w zwykłych moich przechadzkach.

Było to tylko przedwstępne poróżnienie małżeństwa, — pociągnięcie męczyznę słabego charakteru w krąg silnej woli kobiety.

Marja, dla oszczędzenia zdrowia twego, dzień cały przesiadywała z moim mężem, a my tymczasem biegali-

śmy po łąkach, po gaikach i ciemnych zaroślach. Ja do ciebie przemawiałam zawsze ujmująco, poetycznie; ośmielałam cię jawnie, ale twoja wierność dla Marji była niczem niezachwiana. Cnotliwym będąc, zdawałeś się nawet nie pojmować słów moich, a tem więcej myśli. — Wieczorem, gdy każde z nas udawało się do swego pokoju, ja biegłam do swego męża, a całując go, wystawiałam sobie, że owe gorące uściśnienia na czole twojem składałam. Tego to czasu używałam do drażnienia uczuciowości dziadunia. Z początku mówiłam o warcabach, o szachach, potem ubolewałam, że dzień cały przepędziłam bez niego, i tak go starałam się gawędką moją, martwą, jednostajną, przeciąglą, nudzić; że tą jednostajną rozmową, nawet aż co do jednostajności słów posuniętą, nielitościwie mordowałam starca, odpycha-

łam go od siebie, a bardziej jeszcze, wtrąconem nieznacznie wyrazem, do Marji przywiązywałam.

Kiedy ja swego męża w podobny sposób dręczyłam, ty tymczasem, całodziennem chodzeniem strudzony, spałeś już snem twardym, a gdy Marja wstawszy od szachownicy, przekraczała próg swego pokoju, nie usłyszała głosu twego, i tylko milcząc spoglądając na spokojne twe oblicze, uрониła nie raz łzę z oka; — z żalem tym kładła się w łóżku, z nim wstawiała; boleść ta była towarzyszką całego dnia następnego!

O mężczyźni, chlubicie się silną wolą, a ulegacie zazwyczaj kobiecym kaprysom; najużyteczniejsze przedsięwzięcie, upada przed jednym słowem; zamiar na długiej rozwadze opierający się, którego byście przed pobłyskiem armatniego ognia nie odstąpili, kruszy

się pod jedną łzą, — nie zawsze szczerą, najczęściej obludną, samolubną albo podstępną. Któż, jeśli nie wy, jesteście winni? Wy zarozumialcy, nadęci płciowem imieniem, w rzeczy, słabsi w duchu od niemocnych ciałem kobiet!... Ludwiku, ty miałeś żonę, jakiej nie znajdziesz, chociażbyś wszechświat przeszedł, tyś ją kochał gwałtownie, dla niej z pogardą przyjąłeś ojcowskie przekleństwo, z uśmiechem ironicznym pozbawienie cię majątku; dla niej gotów byłeś podjąć się najcięższej pracy, — chciałeś poświęcić wszystko, — a jednak uległeś mowie mojej, wysilonéj, w nocnym bezśnie ułożonéj; biegłeś na skinienie oczu moich — i — przestałeś kochać żonę — nie wiedząc o tém.

Zerwać dwa małżeńskie związki, a z zerwanych nowy skojarzyć, o to był cel dążności mojej, — ale rozwód

bez przyczyn nie mógł nastąpić, a co więcej rozwód mógłby pozbawić mnie zapisu, bo w tym względzie wyraźne zastrzeżenie w akcie ślubnym było. Zawołałam szarlatana, którego, nie wiem dla czego, doktorem medycyny zwano. Zapewne nie zapomniałeś o nim. Tysiąc talarów za sprawienie choroby, dwa za zniweczenie środków lekarskich ofiarowałam. Z radością przystał na moją propozycję.

Mąż mój umarł w cztery tygodnie po tej rozmowie. Przywdziałam żałobę, a szarlatana, za jego trudy i całonocne czuwanie przy nieboszczyku moim mężu, zatrzymałam u dworu. Pieniądze wypłaciłam mu, ale upominałam, aby skarbów swoich nikomu nie okazywał, i dałam do zrozumienia, że więcej jeszcze będzie mógł zarobić.

Nieograniczona pani ogromnych bogactw, żyłam po książęcemu. Ale

wkrótce przekonałam się, że jednej ofiary mało było. Marja, od czasu śmierci męża mego, uczęszczała na wszystkie nasze przechadzki i odzyskała twoją miłość. Udawalam zimną obojętność, natenczas, gdy ogień piekła trawił istność i szarpał sumienie. Kazałam milczeć sumieniu, — i zamilkł surowy świadek w szumie zabaw i odgłosie hucznej muzyki.

Wdówka się weseli, — mówili sąsiedzi, — i znowu zjawiała się bezliczebna massa moich wielbicieli. Ludwik był jedynym celem mych pragnień, ale Ludwik kochał Marję; ja także ją kochałam, nawet szarlatan, człowiek bez pocziwości, był bardzo jej przychylnym. Przeczuwałam, że z Marją trudniej mi będzie. Chwyciłam się sposobu, już dla zabezpieczenia siebie, już też dla pozbycia się w przyszłości współnika zbrodni.

Szarlatan stał się moim kochankiem, on mniemał, że rzeczywiście. Udawałam, że bardzo cenię jego naukę, i życzyłam sobie nabyć niejakiich lekarskich wiadomości, dla niesienia, jak mówiłam, wspólnie z przyszłym małżonkiem (którym szarlatan sądził, iż zostanie), pomocy kmiotkom. I ty i Marja także, zapragnęliście być lekarzami, szal was opanował rzeczywisty, mnie ani medycyna, ani filozofja, ani religja, wcale na myśli nie była. Ludwik! o to było wszystkim.

Wkrótce Marja matką zostać miała. Tyle umiera kobiet w pologu, dla czegożby Marja przeżyć go miała, ona to jest jedyną tylko przeszkodą do mego szczęścia. Ta myśl uderzyła mnie pewnego wieczoru, kiedyś szczególnie okazał dla niej dowody przywiązania. Rano myśl ta była przezemnie

odrzuconą, potępioną, ale znowu wróciła wieczorem.

Długo wahałam się. Odkryć swoje myśli i użyć do ich spełnienia szarlatana było bardzo niebezpiecznie. Jeżeli bowiem śmierć męża usprawiedliwić było można, jak się wytłomaczyć z chęci zabicia przyjaciółki? Wszystko było roztrząśniętem i prawie przewidzianem. Marja i doktor obsypywani byli największymi względami. Zapytasz może, dla czego szarlatan? O! Ludwiku, jeżeli waleczny mąż umie zręcznie władać szablą lub proporcem, kobieta... kobieta podła, bo istotnie byłam podłą, popełniła sto morderstw, tysiąc wykona intryg, a jeszcze obfity w pomysły i zdolny jej umysł, potrafi powstrzymać burzę opinii publicznej, i głos jej dla siebie przychylnym uczynić.

Pomimo potrzeby, (gdyż uważałam

to za konieczne) pozbycia się Marji, pierwotny plan mój zmieniłam. Dwóch ludzi, którzy tak skutecznie w Krakowie mi usłużyli, było przy moim dworze; jeden, szarlatan rozkochany w moich pieniądzach; drugi, prawdziwy włóczęga, któremu sownie zapłaciłam, i którego, na jego usilne prośby, za ekonoma w jednym z folwarków pomieściłam.

Człowiek ten zupełnie był zadowolony z swego stanu; milczał, tak jakby urznięty miał język, ale milczał dla tego tylko, że nie myślał, iżby więcej korzystać można było.

Mieć pod bokiem dwóch świadków niecnego swego postępowania, nie bardzo bezpiecznie. Pozbyć się ich o-
budwóch w jakikolwiek potrzeba było sposób, a sposób znaleźć nie trudno, jeżeli w wyborze środków nie jesteśmy skrupulatnymi. Znowu w kilka dni,

mój poświęcający się bez granic ekonom był w drodze, ale już nie do Krakowa, tylko na Ruś Czerwoną, gdzie wówczas ojciec twój przebywał. Jeden tylko list miał doręczyć, ale list, którego treść poruszyłaby żelaznego człowieka, a nie dopiero tak popędliwego jak twój był ojciec.

Mogłam pismo to przez pocztę odeśłać, ale wiesz dobrze jakie nasze pocztę; nie ma żadnej rękojmi, aby przedmiot doszedł przeznaczenia swego, a jeżeli dojdzie, to w niepewnym i niewiadomym nam czasie; oprócz tego chciałam wiedzieć jaki skutek sprawi pismo, a na wypadek, jeżeliby miecznik zamierzał przybyć i pomścić się uczynionych sobie zniewag, iżbym o przybyciu jego wcześniej zawiadomiona być mogła.

List był pisany moją ręką, podpis jednakże oznajmiał, że brat Marji, któ-

rego nigdy nie miała, że brat Marji, ksiądz, na żądanie siostry i jej słowami, przemawiał do Miecznika.

Wyprawiając posłańca, oddaliłam się do innego pokoju. Chytry ten człowiek ukradł leżącą na stole pieczętkę i uwiózł ją z sobą. Za pomocą tejże, odczytał wiezione pismo i tym sposobem całą nić intrygi w ręku swoim posiadał. Nie wrócił jednakże, aby żądać odemnie czegoś tylko zażądał, ale zawiózł pismo, doręczył je, a potem zaznajomił się z jednym z służących miecznika, dowiedział się od niego, że ostatni wybiera się w podróz, przypilnował wyjazd, a śledząc jego kroki, doprowadził go do granic Wielkopolski, wyprzedził i o wszystkim mnie uwiadomił.

Pierwszem usiłowaniem mojem było oddalić ciebie. Z większą nadspodziewanie udało mi się to łatwością.

Potwojem odjeździe, oczekiwałam spokojnie miecznika.

Przyjechał. Nie zważał ani na stan Marji, ani na dom w którym przytułek miała. Nie pytał, nie słuchał, zapalczywość jego nie miała granic, z hajdukami napadł na dwór, wyciągnął Marję z łóżka, i setne plagi okryły niewinną.

Kiedy już ofiara prawie martwą była, przybiegłam na pomoc. Marja była bez czucia, ale piękność jej była uderzającą. Miecznik ochłonął z gniewu, przechadzał się szerokimi krokami po pokoju, a ja mu wyrzucała haniebny czyn jego. Mógłże być okropniejszy być pomysł i skutki jego?

Mój zacny szarlatan ratował Marję; nie poprzestałam jednakże na tem, posłałam do Leszna po lekarzy. Dwóch przybyło; Marja odzyskała przytomność, aby ujrzeć po raz ostatni mę-

za, przebaczyć ojcu, i oddać dług naturze.

Dziecię urodziło się nieżywe. Na tę smutną katastrofę ty przybyłeś. Rozdzierającą była boleść twego ojca, gdy poznał jak srodze był oszukanym. Zostawiam jej opis, widziałeś; ja, chociaż zbrodniarka, czułam całą jej okropność, i od dnia tego zgryźliwa mara piekła, sumienie, nieprzesłala mnie prześladować.

Ludwiku... wiesz także, że miecznik usprawiedliwiając się z swego gwałtownego postępku, wspomniał oliście do niego pisanym. Przypisywaliście to mnie i nie omyliliście się. Szarlatan, który był przy tem, dał mi wiedzieć. Wyjechałam, pod pozorem, że cierpień Marji znieść nie mogę;— ale nie wiesz, że tegoż dnia, gdy cucono Marję, ja podałam szklankę wody, a w wodzie tej— była trucizna!

Marja, konając przebaczyła twemu ojcu, przebaczyła i mnie, jak to powiedziałeś, ale jeżeli nie chciała zemsty za intrygę, której śmierć dziecięcia i swoją przypisywała, byłaby może przeklęła rękę, co ratując cierpiącą, ubolewając nad zhańbioną, podala jej zabójcze soki.

Lekarze odkryli truciznę, a za sprawę jej udzielenia poczytali szarłatana. Zemknął on z dworu i tajemnie przybył do mnie, donieść o śmierci Marji i o jej przyczynie. W mgnieniu oka zrozumiałam, że podejrzenie padnie na niego, przywołałam ekonoma, i powiedziałam mu, że potrzeba odwieść doktora do chorągwej mojej znajomej, na drugiej stronie jeziora mieszkającej. Ludzie byli w polu, czas południowy, więc odpoczywali, po większej części nad brzegami jeziora. Zobowiązałam ekonoma, iżby sam przewiózł doktora, czyniąc to

z wielkiej niby troskliwości o drogą mi jego osobę. Jezioro, za pośrednictwem małej, lecz silnego prądu rzeczki, łączyło się z drugim. W tym miejscu, przy zakręcie wspomnianej rzeczki, zbudowany był młyn wodny, którego koła prawie całą szerokość wody zajmowały. Nie dojeżdżając tej budowli, obadwa brzegi zarosłe były gęstym wierzbowym laskiem, którego drzewa pochylając się ku wodzie, zasłaniały jej widok. Ten więc, kto nie znał dokładnie miejscowości, a ztąd nie mógł przewidzieć niebezpieczeństwa, bez żadnej wątpliwości mógł się puścić w ciasny przesmyk, nie domyślając się bynajmniej, że prąd wody uniesie czółno pod młyńskie koła. Ekonom, mając przezemnie wskazaną drogę, z zupełną ufnością, pochwycił wiosło i szybko niem robić zaczął.

Skora tylko odjechali, weszłam na

dach pomieszkania i długo za nimi patrzyłam. Wpłynęli właśnie w rzeczkę. Wystawiałam sobie ile szarlatan cieszyć się musi, że mu daję miejsce ukrycia, gdyż zdołałam go wprawić w wątpliwość, i prawie przekonać, że on to swemi lekarstwami zabił Marię.

Żniwiarze wrócili już do pracy. Wdzieli oni odpływających, lecz nieprzypuszczali nawet, aby mieli udać się w koryto rzeczki. Gdy więc to spostrzegli, kilku z nich wydało okrzyk trwogi, i szybko pobiegło w kierunku stojącego mlynu. Ale już było za późno. Ślad płynących zaginął, i tylko na białej wodnistej pianie, gdzie niegdzie, czerwone, krwiste pokazywały się plamy. Koła młyńskie zdruzgotwały ciała moich współników, i mnie od wszelkich podejrzeń na zawsze zasłoniły.

*

Miecznik, zbyt żywy starzec, odebrawszy odemnie list, poszarpał go na drobne części, a przez to dowód moich czynów był zniweczonym; opieraliście się tylko na samych mniemaniach.

Wypadki takie rozdrażniły ognistą twoją wyobraźnię. Właśnie miałam zamiar pocieszać ciebie, czyniąc ci rozmaite rozrywki, na co ojciec twój udzielił przyzwolenia, gdy rano, doniesiono nam, siedzącym przy stoliku, że furman miecznika i ty Ludwiku, zniknęliście; a wieczorem odebrałam od proboszcza uwiadomienie, iż ciało Marji z grobu przez niewiadomych ludzi wydobyte i uniesione zostało.

Zrozumieliśmy. Miecznik odjechał. W jednymże prawie czasie stracił córkę i syna, połowę swoich dzieci! Za napad na Tatara i poranienie jego, miał być osadzonym w wieży, bo sprawę tę

popierał wielki bratman; ale za śmierć Marji, nikt nie miał odpokutować, tylko wewnętrzny stróż mój, miał mi całe życie śpiewać piosnkę grobową, czarną, okrutnie szarpiącą wnętrzności, stokroć boleśniejszą nad ranę żelaza, okropniejszą nad jad gadziny!

Wszystkie nadzieje moje zostały zawiedzione. Pozostałam sama, bogactwa obrzydły mi, sypałam jałmużnę, modliłam się, czyniłam ofiary na potrzeby kraju, uposażałam biedne sieroty, wychowałam kilkanaście wiejskich dziewczec, ... nic, nic, nic! Zawsze obraz nieszczęśliwej Marji mam przed oczyma; łagodna ta istota przebacza mi we śnie, trzymając na ręku drobnego swego anioła, który wyciąga do mnie pulchne niemowlęce ręce! O! Marja dobra była na ziemi, lepszą jest w niebie! Ale, lubo Marja w tak przyjaznej objawia się postaci, Ludwi-

ku, nie ukołysał mnie sen, nie! o tyle cierpię, o ile...

Powiedz mi, gdzieś podział ciało Marji, pójdę pieszo, odkopię je, szkielet jęj będę ubóstwiała. Ludwiku, nie odmawiaj tej jedynej łaski kobiecie, która cię tak mocno kochała, że nie wahała się popełniać zbrodnie, zbrodni Kaima równe.

A potem, powołaj mnie przed trybunał sprawiedliwości, rzuć głowę moją pod miecz katowski, albo, obojeśmy zbrodniarze, pokutujący, połącz się ze mną, wróciemy na drogę cnoty, wszakże i po dwudziestu latach jest jeszcze czas do poprawy, a ja ciebie tak Kocham, że jeżeli Marja mi przebacza z za grobu, nie czyni to dla czego innego, jak pobłażając słabości serca mego.

Mój los w twoim ręku, szczęśliwą będę jeżeli wywierając zemstę, odbie-

rzesz mi życie; stokroć szczęśliwszą się uznam, gdy łącząc się ze mną, hydrę moralnych moich cierpień złagodzisz, a z czasem, z pamięci może wygładzić zdołasz. *Elżbieta.*

Słońce złotemi swemi promieniami zakolorowało wschód, gdy Elżbieta skończyła pisać. — Sama mu oddam, jego charakter nie mógł się zmienić. Prędzej popełni zabójstwo, aniżeli zdradzi. A jednak nie chciałabym ani jednego, ani też drugiego; miłość moja powstała z popiołów dwudziestoletniej rozłąki, ale powstała silniejszą jak była. Dwadzieścia lat, — powtórzyła Elżbieta, podnosząc pismo swęj ręką nad głowę, — nie zdołało osłabić tego uczucia. Szukałam pociechy na lonie religji, wówczas jeszcze, kiedy nie popełniłam żadnej zbrodni, — kazano mi przestać kochać, i powiedziano, żem warjatka, żem godna po-

łepienia; ach! mogą coś podobnego wyrzec tylko ci, co nigdy nie kochali; albo ci, co rozpustne życie wiedli. Nikt może nie obdarzony tak silną wolą, tak przedsiębiorczym charakterem, jak ja, a jednak po upływie piątej części stulecia, czuję się być takąż samą, jak w chwilach hożej młodości!! Biedni rozumujący, biedni, którzy chcą stworzyć regułę uczuć, podług której możemy i mamy kochać, — oni są zaślepieney, oni nigdy nie uczuli ani rozkoszy, ani też cierpień uczuć, wyższych nad prostą bliźniego miłość.

Elżbieta zbliżyła się do drzwi i z cichością je otworzyła. Rozmowa jaka toczyła się pomiędzy rannym a Buczysem, nakazała jej zatrzymać się.

— Już dzień.

— Tak, dzień, starosto, muszę opuścić twój dwór.

— Nie, uczyniłeś mnie tak wiele, że oddalić się nie możesz. Buczys, tyś wielki zbrodniarz, twoje czyny od dziecięciu lat przerażają cały powiat, a kiedy przybyłem do Litwy, dla groźnego twego imienia, odradzano, abym nie osiedlał się w trockiej dzielnicy;— ale, słuchaj, przekonany jestem, żeś nie zupełnie wyzuty z uczuć ludzkości.

— Czy tak sądzisz?

— Znowu brzmienie znajomego głosu, powiedz, możemy się gdzie widzieli?

— Nie. Buczys pierwszy raz rozmawia z starostą Wilczyńskim.

— To szczególna;... być może, że się mylę; lecz nie opuścisz mnie. Wszystko poświęcę, co jest moją własnością, dla wyjednania ci przebaczenia, powrócisz na łono społeczności.

— Starosto, masz dzieci, nie szafuj tak hojnie twemi dostatkami, one bezpośrednio do ciebie nie należą.

— Nie; ja ciebie znam. Czeka....
ja ciebie widziałem O! Boże...
byćże to może, tyś mój brat!..... O!
pójdź w moje objęcia, pójdź, ty Lu-
dwik, albo cień jego!!— Wilczyński,
pomimo osłabienia z poniesionych ran,
zerwał się i pochwycił za szyję Lu-
dwika, — tyś mój brat, Ludwik, czy
tak?.... tak .. tak, niezawodnie,....
ja się nie mylę.... wołajcie moje
córkę... mój brat przy mnie, ach!
gdybym jeszcze mógł odzyskać Klarę.

Na wspomnienie siostry, Buczys nie
mógł leż wstrzymać, wyrwał się z o-
bjęć starosty, westchnął ciężko, i pas-
sując się czas niejaki sam z sobą, za-
wołał:

— Jakto, Klary już nie ma, Karolu,
mój drogi Karolu, gdzież ona jest, gdzie
moja kochana siostra?

Elżbieta weszła. Scena ta rozczuli-
ła ją bardzo. Zasłoniła twarz rękoma

i płakała. Chociaż w zakątku serca najzawziętszego zbrodniarza, znajduje się przecież uczucie szlachetne, objawiające, pochodzenie jego od Boga.

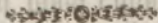
Nagle Buczys wstrząsnął głową;—
Do lasu trzeba iść, bywaj zdrów, bracie, polecam cię Boskiej Opatrzności.

Starosta wyciągnął do brata rękę, chcąc go zatrzymać, ale Ludwik już wyszedł.

Elżbieta wybiegła za nim.

— Ludwiku!— rzekła, a oczy jej biegające świadczyły o wzruszeniu duszy,—przyjmij ten papier... Elżbieta ci daje.... O! ja nie wiem, co ci miałam powiedzieć.

Buczys odebrał z rąk jej papiery, skłonił cokolwiek głowę i opuścił dwór.



III.

W. A. A. A. A. A.

Nie było celem Darwenta zburzyć spokojne Monastynie. On chciał porwać złamłą Ayeszę, a przez to nie tylko wyrzucić zemstę na Edwardzie, ale okazując także ostatniemu, moc swojej woli, skłonić go na nowo do zaciągnięcia się pod jego znamiona. Zapewne pojmujecie jakie miał zamiary względem biednej dziewczyny. Są w świecie tak wyrodni i podli mężczyźni, że zaspokojenie brudnych swoich żądz,

za najwyższy szczebel szczęścia poczytują. Nie obawiam się bynajmniej tego pisać, bo jestem przekonany, że pomiędzy moimi czytelnikami, nie znajdzie się podobne zwierzątko; a jeźliby przypadek szczególny, kaprys, lub nie wiem już co, spowodowało takiego jegomości, aż do tej kartki doczytać moją gawędkę, to wieszczy głos mi powiada, że żaden z tych modnych nikczemników za zasady swoje nie upomni się otwarcie. Może będzie szarpać mnie krytyką ustną lub piśmienną, lecz zawczasu oznajmiam im, iż sądem takich ichmościów pogardzam i wcale nań zważać nie będę, jak znowu przestrogi enotliwych znajwyższém poważaniem przyjmę.

Darwerd, ów typ dzisiejszych zu-
chwałych, lecz innego charakteru, bo
mniej odważnych, awanturników, wy-
przedził zgraję swoją i galopem po-

śpieszał do chaty Katarzyny. Gdy z niej wyszedł, już płomienie niszczyły wiejskie siedziby. Pragnął on, wstrzymać pożogę, ale, jak to już wiemy, zamysł ten nie udał mu się wcale.

Katarzyna szukała schronienia w lesie, do którego także większa liczba mieszkańców wioski ucieczką się ratowała. Ayesza nie była w stanie iść sama, uniósł ją na barkach jeden z synów Katarzyny.

Koczowisko na pobrzeżu lasu, nie zdawało się dosyć bezpiecznem; wieśniacy oddalili się przeto w nieprzystępne miejsca, a tym sposobem o życiu ich nikt nie wiedział.

W wilgą barbarzyńskiego tego napadu, Jan, syn węglarza, przyszedł dowiedzieć się u Medy, czyliby o Ayeszy nie miała jakiej wiadomości. Stara z Giwokor wskazała miejsce, nie mogła jednakże nie polajać Jana, za zanied-

banie przedmiotu, któremu tak gorliwie z początku się oddawał. Jan wytłomaczył się wiadomemi nam trockiemu wydarzeniami, a uściskawszy ręce Medy, wracał z lekkim sercem do Trok, niosąc balsam na zranioną duszę Sulejmana.

Tyle i tak wielkich klęsk i stracona nadzieja odzyskania córki, zgnębiły Gabrijela. Smutkiem pochylony, spoglądał na twarze przyjaciół, wieczorem w domu jego zgromadzających się, rozpaczliwem okiem. Missalla widziała ojca nad grobem, a cała jej miłość dziecięca, nie była dostateczną, do odwrócenia ciosu dolegliwszego dla niej, nad wszystkie inne.

Zmierzch był zupełny, kiedy Jan przybył do Trok. W natłoku radosnych wrażeń, nie namyślił się nawet w jaki sposób objawi pożądaną wieść starcowi, i wszedłszy do Sulejmana, rzu-

cił się mu do nóg, wołając, że przecież raz jest szczęśliwym.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali objaśnienia Jana. Nikt nie dziwił się jego poprzedniemu uniesieniu, każdy tłoczył się w objęcia starego ulana, który łzami wdzięczności, wypłacał się za nowe te dowody szczerzej ich życzliwości.

Gdy rozum wziął przewagę nad radością, Sulejman oświadczył chęć natychmiastowego udania się do Monajci z Janem.— Jednakże uległ przełożeniom zgromadzonych osób, jedno-głośnie twierdzących, że nocna podróż tak dla Sulejmana jak nieminiej i Ayeszy może być zgubną, tem więcej, iż poprzedzają i poprzedzaćby ją mogły wzruszenia, które same z siebie wielki wpływ na zdrowie wywierają.

Sulejman usłuchał, i dobrze zrobił. Byłby bowiem przybył w chwili sta-

nowczej, a wtenczas czyliby ojciec, mniemający, że dziecię jego pod dymiącemi zwaliskami śmierć znalazło, mógł powściągnąć swoją zemstę? Gabriel, obyczajem przodków, nie liczyłby wrogów; szabla załęgłaby na łbach zbójcekich najeźdźników, ale czyliżby dwóch, mogło się oprzeć licznej tłuszczy, zbrojnej, i na wszystko gotowej?

Z świtem dnia, z świtem, który jak czytaliśmy, był ostatnim widzem dogorewających ścian wioski, Sulejman, w towarzystwie Szafranowicza, Jana i Beni Ana, wyjechał z Trok. Nie bardzo świadomi drogi, przybyli na miejsce, kiedy słońce było już wysoko. Nie umiem opowiedzieć ich przerażenia, gdy kupy węgla tylko znaleźli. Ludzie, którzy z sąsiednich wiosek na ratunek przybyli, opowiedzieli im, jak zastali wieś całą w płomieniach,

których przygasić nie mogli. Z czego-
by powstał ogień i jakimby sposobem
tak rozrzucone budowle, nie oszczęd-
zając żadnej, objął, nie umieli sobie
wytlomaczyć; mniemali wszakże, iż
nikt z mieszkańców nie ocalił się, al-
bowiem pomiędzy główniami i pod
niestrawionemi ogniem belkami, od-
kryli kilka opalonych trupów.

— Wieczny jój pokój, — rzekł Sulej-
man, zalamując wyschłe ręce, — połą-
czyła się z Klarą, — szeptał cicho, —
obie szczęśliwe, po cóż pozostałem?

— Nie, — przerwał Jan, — Ayesza nie
mogła zginąć, przecież ogień nie ogar-
nął razem wszystkich budynków, ... o
znowu jakaś psota, naszego wspólne-
go nieprzyjaciela. Czas, aby zbrodzeń
zasłużoną karę...

— Bóg go niech ukarze!

— Wstąpiemy ojcie do Medy, ona
może będzie wiedziała...

— O czym?

— O Ayeszy.

— Przecież wiemy, co się stało.

— Podzielam zdanie Jana — rzekł Szafranowicz.

— I ja zgadzam się z wami, — dodał Beni Ana.

— A! — przemówił z kolei grobowym głosem Sulejman, — dobrze, ponowimy usiłowania; ale, czy zgadzacie się na moją prośbę?

— Możeszli wątpić, — odparł Szafranowicz; — my cię tak kochamy, tak twojej pragniemy spokojności, że jeżeli do niej potrzeba ostrza żelaza, chętnie niem przepłoszym gniazdo złoczyńców.

— Jan dobrze mówi, wstąpimy do Medy.

— Medy?

— Wszystko dla nas jedno, ... zapłacę jej.

— Nieprzyjmuje pieniędzy.

— A z czegoż żyje?

— Nie wiadomo.

Taka rozmowa toczyła się na drodze z Monajci do Giwokor.

Meda nie wiedziała jeszcze o dzi kim czynie Darwerda, ale nie chcąc sprawiać większego smutku ojcu, którego, lubo milcząca, widoczną jednakże była rozpacz, zapewniła, że Ayesza życia nie straciła; a przypisując popełniony występki Edwardowi, po prostu radziła, użyć odwetu i pojmanego trzymać dopóty, dopóki córka ojcu zwróconą nie będzie.

Sulejman nie dowierzał wróżbie starej kobiety, ale jednak płomyk ognia nadziei wstąpił w piersi jego. Wracal do Trok z spokojniejszym umysłem, aby z zimną krwią radzić, o podanym przez Medę środku.

Zostawmy ich na pewien czas, a sami zwróćmy się do Edwarda, o którym dawno już nie mieliśmy żadnej wiadomości.

Zabohoski, opuściwszy w trockiej wyprawie Darwerda, po powrocie do domu, nie myślał wcale żadnych zawierać związków. Tatarska nauka na długo utkwiała mu w pamięci. Rzeczywiście, gotów był wyrzec się Ayeszy, i z tym zamiarem pojechał dnia jednego do Katarzyny; ale zamiary jego podobne były do baniek z mydła. Skoro przez mały otwór zobaczył przechadzającą się, wątłej kibici Ayeszę, na twarzy której, chorobą znękaną, nie kwitły już wprawdzie karminu kolory, lecz spokojny smutek z bladością zmieszany osiadł, Edward mówię, w całym jej składzie, w pieszczonych jej rękach, w czarodziejskich rzesach, i w tym majestatycznym po-

wolnym ruchu, nowe znajdując wdzięki, zapomniał o swoim postanowieniu, i pobiegł do Katarzyny, prosząc, iżby mu słów kilka przynajmniej wolno było z Ayeszą pomówić.

Domyślicie się zapewne, że Katarzyna do żądania jego nie przychyliła się. Ztąd przyszło do sprzeczki, a nakoniec do pogroźek. Wieśniaczka kochała Edwarda po macierzyńsku i zdawało się jej, iż rzeczywiście służyć jej prawa matki względem Edwarda. Gdy przeto młodzieniec nie poprzestawał domagać się, Katarzyna, po wiejsku, (czasem to bywa po miejsku i t. d.) pochwyciła za drapaczkę leżącą na przedpiecku, zwykle używaną do zmiotania popiołu, i tą mlecznego syna, który na nią ośmielił się obnażyć pałasza, zręcznie okładała, a chociaż Edward nie na żarty zasłaniał się przed nacierającą, pra-

wie z boleścią przyznać muszę, że pa-
łasz w tym razie zwycięztwa nie od-
niósł. Edward spopielony cały, z zasy-
panemi tąż istotą oczami, wybiegł na
podwórze; a rozgniewany, dosiadłszy
konia, śpiesznie odjechał.

Znowu kilkodniowe nie widzenie, a
bardziej może wpływ nieszczęsnej
drapaczki, ostudziły miłosne jego za-
paly. W domu, powróciwszy z smu-
tnej wyprawy, zastał kustosa ber-
nardynów, który z samego przyzwy-
czajenia, a w części i z powołania,
szeptał dzień cały pacierze, każdy koń-
czący się wyrazami: „zbaw mię panie
od piekła.” Szeptanie grubego ber-
nardyna, przedzierało się bardzo wy-
raźnie przez cieką drewnianą ścia-
nę, jaka oddzielała swawolnego Edzia
od ojca duchownego, słowa więc po-
bożnej modlitwy, pomimo chęci, cisnę-
ły się do uszu Zabohoskiego i bez-

przestannie przypominały mu nie bardzo powabną przyszłość wieczną, którą postarał się sobie zgołować. Z początku wprawily go one w zachwycenie, ale później, za każdym bernardyńskim wyrzeczeniem, powtarzał także Edward: „zbaw mię panie od piekła.”

Bojaźń kary, przywołała na rozagę wszystkie błędy Edwarda. Zdumiał się sam nad sobą. Zbrodnie były tak jawne, tak ciężące, że noc jaką przepędził, przejęła go dreszczem potępienia. Sumienie dopominało się swoich praw, i kolatało tak silnie, tak gwałtownie, że Edward, raniiej niż zwykle, wstał i udał się do kapłana.

Pragnął spowiedzi, — kustosz przyjął go pod cień religijnego skrzydła; nie wiemy jak długo chrześcijańska odprawiał powinność, lecz o tém zapewnić możemy, iż, zamiast dłuższe-

go jak zamierzał goszczenia u Zabohoskich, bernardyn wyjechał zaraz po objedzie, a Edward przed wieczorem.

Zmierzch osiadał, kiedy obadwaj zjechali się w Giwokorach. Tam ich Meda, do której udali się, uwiadomiła o zdarzeniu, o którym przed kilku godzinami od przejeżdżającego Sulejmana słyszała. Edward chciał wrócić do domu, ale kapłan, posłaniec Chrystusa, skłonił go do dalszej drogi, zniewolił do obietnicy wyszukania i wrócenia ojcu, córki. Tym sposobem, mówił on, możesz tylko w części uzyskać przebaczenie, na które wielkość i mnogość występków twoich, nie zasługuje.

Nie tracąc czasu u Medy, kustosz z Edwardem ruszyli do Monajci. W tym czasie Sulejman, Szafranowicz i sześciu ich towarzyszy, rozbiło namiot na trockiej wyspie, pod pozorem, że tam

przepędzą noc, wówczas, kiedy mieli wykonać zamiar, niezgodny z poczwami ich charakterami, lecz konieczny.

Edward z kustoszem szczęśliwszymi byli, ale też przybyli na miejsce pogorzeli już w nocy. Ci, którzy pośpieszyli dla niesienia wsparcia pogorzelcom, wyszukali miejsce ich schronienia. Każdy zapraszał w biedne, lecz gościnne progi, wieśniaczego litewskiego ludu, pozbawionego przytulku ziomka; każdy, dzieląc się szczupłym swym mieniem, uznawał się za szczęśliwego, wypełniając powinności człowieka.

Właśnie Katarzyna zasiadła z Ayeszą na niewygodnym wozku, mając się udać do pobliskiej wioski, gdy nadszedł kapłan z Zabohoskim.

— Ach! — mówił ostatni, — tu nie ma śladu wioski.

— Mój Boże, — uczynił uwagę sługa Chrystusowy, — toż to zadosyć uczynienia wasze za obrazy, nigdy wam nie wyświadczone; oj! szlachta, szlachta, jakże się plamicie, jak szarpiecie cienia zacnych przodków.... tu, szczyćcie się ich postępowaniem i mężstwem; tam, czyliż ani za potomków swoich uznać nas zechcą?"

Edward zapłonił się i spuścił oczy.

— Patrzcie! — wołał jeden z wieśniaków, — to on, widziałem go w nocy; pamiętacie, on to także do naszej gospodyni przywiózł dziewczynę, taką słabą, cierpiącą, że aż serce mi się krajało, a on pił, jadł i śmiał się.

— Oj, Piotr prawdę mówi, pomścimy się.

Gromada rzuciła się na Edwarda i byłaby go zapewne, w uniesieniu, niełitościwie pobiła, gdyby kustosz zapewnieniem swoim, że Edward pod je-

dnem dachem z nim nocował, niemniej powagą stanu duchownego, niepowstrzymał rozgniewanych wieśniaków, gotowych srodze się pomścić na sprawach swojej niedoli.

Na żądanie tylko kustosza, Katarzyna wydała Ayeszę, a dziewczica uszczęśliwiona, że przecież ujrzy znowu swoją familję, kochanka, wdowę Joannę, i rodzinne Troki, pożegnawszy czule pocziwą wieśniaczkę, wsiadła w bryczkę i odjechała troskliwą swoją opiekunkę, obiecując ją odwiedzić, skoro tylko pozwolenie ojca na to uzyska.

Ale, jakkolwiek zdawało się, że Ayesza kilkomilową podróż, bez nadużycia sił, odbyć będzie mogła, przecież nadspodziana nadzieja uściskania ojca, który, że był w Monajciach, z opowiadań innych wieśniaków wiedziała; przestach, jaki zeszłej nocy

doznała, gdy ją Katarzyna zbudziła i potrzebę ucieczki objawiła, nakoniec, pobyt całodzienny na otwartem, wilgotnem, pomiędzy bagniskami, powietrzu, i znajdowanie się obok prześladowającego człowieka, tak dalece ją przejęły, że fabryczny dreszcz opanował jej ciało. Kustosz, obok którego siedziała, wziął za rękę, pomacał puls, a potem zapytał:

— Daleko jeszcze do starej?

— Mijamy właśnie drogę do Giwokor wiodącą, — odrzekł woźnica.

— Zawróć do Medy.

W kilka minut Ayesza znajdowała się w Giwokorach, u znanéj sobie lekarki, która znowu jej o bytności Sulejmana wspomniała.

Taki był powód nienocowania w domu rodzicielskim Edwarda, wówczas, kiedy ojciec jego trunkiem podchmieleł, porwany i uwięziony został.



W starym Zabohoskim obudziła się młodzięcza odwaga. W chwil kilka był on przytomnym, ale nim te chwile upłynęły, małe żmujdzkie koniki, dobiegły już lasu.

Stary obejrzał się do koła, i widząc, że gdyby krzyczał o pomoc, nie otrzymałby takowej, śmiało zapytał:

— Powiedźcie mi, dokąd mnie wieziecie, i cóżem wam zawinił? Prawdziwie postępujecie po szatańsku, po zbójecku.

— Twój syn nie lepiej.

— A, to ojca chcecie powiesić za syna.

— Bynajmniej, nie myślemy ci żadnej uczynić krzywdy, — odpowiedział Szafranowicz, — zechcesz tylko małą przysługę nam uczynić; zwróćcie to, coście nieprawnie zabrali.

— Co? i wy śmiecie twierdzić, że ja jestem rabusiem, złodziejem?

— O! nie, nie mówię nic podobnego, — odparł uśmiechając się Szafranowicz, — nie wiem, czy twój syn bez twojej woli, czyli też zgodnie z nią, dosyć, że nie kto inny tylko Edward Zabohoski, dopuścił się gwałtu na publicznej drodze...

— Co oni pletą, a, dajcież mi szabli, zamknę wam tu zaraz usta.

— Lepiej zrobisz czuwając więcej nad postępowaniem syna.

— Syna, syna, — przerwał Beni-
Ana, — mówisz tylko o synu, stary lepiej postępuje;... pijany, siedział przed domem; w piątek cały dzień pościł, a wieczorem stał się gorszym pewnego zwierzęcia; i cóż, pochwyciliśmy go jak barana, i dopiero teraz rozwiązał mu się język z niemocy.

— Coś ty, hultaju, za jeden, — wrzasnął Zaboloski, któremu obelga zbyt dotkliwie uczuć się dała, — wszystkim wam przebaczam, lecz jeźliście chrześcijanie i macie cokolwiek sumienia, to mi pozwólcie tego holysza po staropolsku nauczyć.

— Nie, nie chrześcijanie, tylko tatarscy ulani, — przemówił Sulejman, a drżały mu usta, na kłamliwe słowa, — ale bracie, jesteśmy ludźmi i nie chcemy ci zrobić żadnej, by najmniejszej krzywdy;... młody cię obraził, toć staroego i przeprosi, a po cóż to zaraz krwi i śmierci bliźniego żądać, wszakże Chrystusa nauka nie wspomina nic o zemście.

— Widzę, żeś ją słyszał, bo wątpię żebyś umiał czytać, trocki Tatarzynie, boś pewno z Trok, przecież z hordy nie potrafiają po naszemu

mówić, a potem i ulanów nie mają,—
prawda—zgadłem.

— Tak, jestem z tych Trok, co to
niedawno syn twój uczyć chciał wi-
dokiem kaźni najniewinniejszego czło-
wieka.

— O! bracie, mylisz się, ten czło-
wiek strzelił do niego.

— Czekajcie, plunę mu w oczy,—
rzekł Beni Aana,— zobaczymy czy się
nie weźmie do broni.

— Pluniesz mi w oczy? o! zębo-
ma rozdarłbym pierśtwoją.

Stanęli przy brzegu jeziora.

Beni Ana i Hassan, pobrzedem po-
prowadzili konie, Jan udał się do do-
mu, a sześciu pozostałych wsiadło do
krypy, i umieściwszy pomiędzy sobą
starego, odbili od brzegu.

Zorza kolorowała niebo, wietrzyk
łagodny obwiewał twarze płynących,
a Sulejman siedząc obok Zabohoskie-

go, opowiadał mu szczegółowo wszystkie czyny syna.

— To mamula, — przerywał kiedy niekiedy Zabohoski, — ona mnie także zgwałciła, ani myślałem z nią się żenić; ale cóż, upoiła mnie, ucałowała, pogłaskała, ać... i dałem słowo... słowo przy świadkach... jakże potem cofać się, nie wypadało... to byłoby nie po szlachecku... bieda, jeszcze człowiek zuch, a baba stara, dziesięć lat odemnie starsza, a zła, zła jak kaduk, tylko syneczka kocha, i pieniądze, com z potem krwawym zbierał, trwoni, oj! bieda, zmiłujcie się, radźcie, ja do niej nie powrócę....!

— Będzie lepszą, ... i syn się poprawi, miej w Bogu nadzieję.

Czołno uderzyło o brzeg, wszyscy wysiedli, a Zabohoski, znając już dokładnie przyczynę uwięzienia siebie, napisał mały bilecik, w którym prze-

cież, po raz pierwszy od czasu ożenienia się, śmiało się wyrażał, surowo naganiał syna, i nakazywał mu natychmiast, zwrócić w dom ojcowski Ayesze; pismo skończył wyrazami jeżelibyś synu, skrzywdził dziewczę, wiedz, że dom ojcowski przed tobą zamknięty, a ciężar przekleństwa do skonu, i za kon obciążać cię będzie.

Sulejman zamierzał właśnie wysłać umyślnego posłańca, gdy zajechała bryczka kustosza, i Ayesza rzuciła się w jego objęcia.

— O! czekajcież, kiedy już wszystko, tak szczęśliwie się skończyło, zapraszam was do mego szlacheckiego domku, a niezgody i obelgi nie krwią lecz pohulanką i bratnim uściskiem skasujemy; a proście kustosza, — dodał Zabohoski, obracając się do furmana, — żeby dzisiaj jeszcze był w na-

szej zagrodzie. Pojedźcie Sulejma-
nie, nie odmówcie mi tego; ulan tatar-
ski a litewski jeździec, toć przecie od-
dawna nierozdzielni bracia.



IV.

RODZAJ W ZAPISKACH.

Trzy dni upłynęło od napadu Darwerda na dwór starosty. Szlachta rozproszyła się zupełnie, a tytularny wojewoda opuścił wioskę, zostawiając ją na łup wierzycieli. Darwerd znikł bez śladu, jednakże wiadzano dobrze, że nie poległ, i mniemano, że nie kto inny tylko on zabrał worek z kilkuset dukatami, leżący na stole w Wilczyńskiego mieszkaniu.

Starania kilku lekarzy przybyłych z Wilna, sprawiły, że rany Wilczyńskiego, nie groziły żadnem niebezpieczeństwem. Mnóstwo sąsiadów, ujętych braterskiem postępowaniem starosty, zbrojno zjechało, aby rozgromić napastników, jeżeliby ośmielili się powtórzyć najazd, i nie poprzestali na nauce, jaką im Buczys udzielił.

Powszechnie dziwiono się nad czynem bandytów; Wilczyński tylko i Elżbieta, nie zdawali się zastanawiać nad tym wypadkiem, i owszem rozmowie w przedmiocie tym wszczynanej inny kierunek nadać usiłowali.

Wieczór był pogodny, Elżbieta wyszła do ogrodu i przechadzając się po krętych jego ścieżkach, zbliżyła się do płotu, za którym, na drodze, spostrzegła stojącego człowieka, nisko jej klaniającego się, który, jak domyślać

się wypadło, miał zamiar coś powiedzieć.

— A co chcecie? — zapytała Elżbieta.

— Mam pisanie, — odpowiedział mazowieckiem narzeczem wieśniak.

— Dajcie, — odrzekła Elżbieta, wyciągając rękę po za płot. Wieśniak podając świstek papieru, drugą ręką odgarnął włosy na czoło spadające, i Elżbieta poznała Wiecha, furmana miecznika, który wspólnie z Buczysem uwiózł zwłoki Marji.

— Wiech, — z westchnieniem przemówiła Elżbieta, rumieniąc się i spuszcżając w ziemię oczy.

— Ongi, panienka urodniejszą była, — rzekł prostoduszny wieśniak, — czy mam czekać na odpis?

— Tak... To pismo Ludwika... gdyby on mnie kochał... o! nie, on mną pogardza, ale czytajmy.

Elżbieta przy świetle księżyca, nie mogła przeczytać bladym atramentem skreślonego pisma, kazała zaczekać Wiechowi, a sama śpiesznie pobiegła do swego pomieszkania.

Bilet był krwią pisany. Buczys łomaczył się, że nie mając atramentu, zmuszony był użyć drogiej tej cieczy, utoczonej z małego palca ręki lewej. Elżbieta pocałowała pismo, pobiegła do ogrodu, poleciła Wiechowi czekać do północy, a sama powróciła i oczekiwała dwunastej godziny z tą niepokojnością wewnętrzną, którą na próżno ukryć staramy się.

Powoli wszystko uspokajać się zaczęło, i tylko psy, kiedy niekiedy, przerywały nocną ciszę. Księżyc połowę swęj drogi odbył i melancholijnym promieniem uderzył w Elżbiety okno. Było to hasło do działania. Elżbieta, po śmierci swęj siostry, opu-

ściwszy swe dobra, w których pustelnicze pędziła życie, przybyła do szwagra, aby wyłącznie tylko zająć się wychowaniem swoich siostrzenic. Pomimo, iż samotność i poprzedzające ją przyczyny, o wiele srogi jej charakter ugłaskały, jednakże chciwość niepokonaną pozostała wadą. Roztrwaniała ona dochody, hojną dłonią wspierała potrzebnych, ale nie mogła pozbyć się chęci zbierania. Usposobienia te bardziej jeszcze z postępem wieku rozwijały się. Elżbieta, od czasu pobytu u Wilczyńskiego, zapomniała zupełnie o obietnicach, jakie sobie samą uczyniła, zaprzestała wydatków, i wszystkie swe dochody skupiała, nagromadzała w brudne skrzynie, nie wiedząc na co, i kiedy je użyje.

Takie zasady zaszczerpiły się, z prostych wzorów, w Wilczyńską Karolinę, najstarszą córkę starosty. Jak-

kolwiek różne wiekiem, ciotka z siostrzenicą stanowiły nierozdzieloną pod względem myśli całość i zgodność, chytrą skrytością osłaniając wszelkie swe czynności.

— Księżyc wszedł w okno, — rzekła, machinalnie podnosząc się z krzesła, Elżbieta, — nie wiem czy wziąć z sobą Karolinę... odważna dziewczyna, byłoby mi trocha weselej, bo gadatliwy Wiech nie wtrącałby się w rozmowę... a rozmawiać potrzebuje!... Tak, jeżeli jej nie powołam, Wiech całą drogę będzie opisywać podróże..... Ludwika z..... biedna..... trzeba było wyrzec się jego, a przynajmniej nie tak nagle postępować..... ale wszelka siła wyczerpała się... ha! stało się.... gdybym mogła obudzić w nim żądzę posiadania złota... Elżbieto! zaraz... zbierz myśli. Może to on zabrał te pie-

niądze,... ale nie mógłże przecie w każdym czasie zażądać części przypadającej na niego po rodzicach, a Karol nie odmówiłby mu nie tylko słusznej należności, ale chętnie podzieliłby się ostatnim z nim groszem. Karol ma dobre serce, gdybym jego kochała, nawet przy żonie, bez rozdwojenia ich, mogłabym zyskać jego uczucia — o! Ludwik inny człowiek, on kocha po swojemu — jedną — zawsze jedną — nawet za grobem.

Szeptając powyższe wyrazy, Elżbieta przebrała się w męzkie suknie, a naciśnawszy małą czterokańczącą czapkę na oczy, zarzuciła burkę na ramiona, a do pasa przywiązała szablę. Nie myślała ona bynajmniej bronić się, w razie, gdyby podobalo się Buczowski ukarać ją za zbrodnie, ale z pewnością można twierdzić, iż skutecznie użyłby jej potrafiła, będąc napa-

dnietą przez jakiego złoczyńcę, których w owe czasy, pełno po gościńcach znajdowało się.

Tak przeodziana, wymknęła się cicho z domu, lekkim gwizdnięciem przywołała ulubionego psa, i ominąwszy ogród, śpiesznie dążyła do kopca, przy którym Wiechowi czekać na siebie kazała.

— Imość dobrodziejka sama.

— Sama.

— Dziwnie imości w spodniach.

— Milez... zaprowadź mnie do kaplicy.

— Dobrze... ale dalibóg zabawnie.

— Powtarzam mój rozkaz.

Wiech zamilkł, Elżbiety pierś niekiedy wydała westchnienie, pies biegł z zwieszoną głową i ogonem, a książę skrył się za chmury, jakby nie chciał przyświecać zbrodniarzowi.

Weszli w ciemny las. Elżbieta za-
drżała.

— Może nie zobaczę Ludwika, —
pomyślała — umrę . . . może idę obok
mego kata..! — i zimnym potem okrytą
ręką chwyciła za rękojeść. Ta namię-
tna kobieta bronilaby z całą rozpaczą
życia i pieniędzy, a życie to i ukocha-
ne te pieniądze, pod nogi Ludwika nie-
zawodnieby rzuciła.

Nakoniec stanęli przed kaplicą.
Wiech zbliżył się do drzwi, lekko ude-
rzył ręką dwa razy, i wyrzekł: — Tak
kolaczemy w czasie wichru.

Podwoje uchyliły się, i Elżbieta we-
szła do spustoszałej kaplicy.

Światło wydobywało się z pod drzwi
grobowych.

— Zatrzymajcie się, — rzekł czło-
wiek, który im drzwi otworzył.

— Wszyscy są? — zapytał Wiech.?

— Nie.

Wkrótce podniesiono drzwi i Elżbieta, sama jedna, zeszła pod sklepienia.

Kilka trumien było zamkniętych, jedna otwarta, osłonięta była białem nakryciem. Obok niej, na ziemi, stała lampa, nieco dalej klęczał Buczys.

Dwóch zbrojnych czuwało przy ostatnim stopniu wschodów.

Elżbieta zszedłszy, przeżegnała się, uklękła na wilgotnej ziemi, i głośno zmówiła modlitwę za zmarłych.

Buczys powstał, zbliżył się do niej z lampą, pozdrowił skinieniem głowy, potem wskazał ręką strażnikom, aby wyszli.

Pozostał sam z Elżbietą.

— Czytałem twoje objaśnienie; Elżbieto, ... kto nie wahał się je uczynić, wiedzieć powinien, jak ma na przyszłość działać.

Elżbieta podniosła oczy, Buczys był nadzwyczajnie blady i widocznie cier-

piący, nogi pod nim chwiały się, a ręką lewą wspierał się o ścianę.

— Tyś słaby Ludwiku? — przemówiła, podnosząc się z ziemi Elżbieta, a głos jej mieścił w sobie i znamię ponizienia, i szczerego żalu, i bojaźliwej miłości.

— Godzina i dla mnie zbliża się, ... pójdz, chciałaś widzieć Marję prawie szkielet.

Buczys oddał w ręce Elżbiety lampę i z wolna odkrył ciało zmarłej.

Nie było żadnych śladów tej czulej, łagodnej, uśmiechającej się twarzy. Trucizna zaraz po śmierci ją zeszpecała, a dwadzieścia lat nawet woń trupią ulotniły.

Elżbieta stała długo, nieruchoma. Wszystkie władze umysłu, wszystkie pięć zmysłów, zanurzyła w resztki nieszczęśliwej swjej ofiary, drgały jej wargi, oczy krwią zabiegły, siność

okryła policzki, poorane zmarszczkami gwałtownych namiętności.

Buczys śledził wzruszenia jej duszy, okiem znawcy uczonego, długiem doświadczeniem kształconego.

— Żałujesz, — przemówił ledwie dosłyszonym głosem, — jakżebyś była wielką, gdybyś była powiedziała do niej: Marjo, ja twego męża kocham, kocham nad życie twoje, nad życie i bogactwa swoje, ale bądźcie szczęśliwi.

Lza potoczyła się po policzkach Elżbiety.

— Cierpisz, ... i twierdzisz, że od dokonanego morderstwa sumienie wyrzuca ci występki, który nieczem niesprawiedliwionym być nie może.

Elżbieta zwróciła oczy na mówiącego, a w tych oczach było tyle prośby o litość, iż Buczys nie mógł więcej czynić jej wyrzutów.

— Wyjdźmy.

— O! nie tak prędko;... ja złąd nie wyjdę, nie, nie pójdę... Marja to moja przyjaciółka, to anioł!! — a ty, a ty kto jesteś Ludwiku? Kto ja jestem?... o! coś mi gorąco w głowie. Marjo! — wykrzyknęła Elżbieta, rzucając się i obejmując rękoma zbutwiałe zwłoki zamordowanej, — ja cię kocham,.... ja swoim życiem wleję ci ducha;... ożyj! ożyj, ja twoje miejsce zastąpię, Ludwik cię — kocha — kocha bardzo, ... dla Ludwika, wstań z grobu, wstań z grobu, wstań, ożyj!!

W grobie było ciemno, bowiem Elżbieta w uniesieniu upuściła na ziemię trzymaną lampę. Buczys uczuł ścisnięcie serca, poznał, że ten wulkaniczny utwór, rzeczywiście nie powodował się nigdy żadnemi prawami, i że w kobiecie tej samo tylko serce pannało.

— Ludwik odszedł, — po chwili rzekła Elżbieta, — zabrał z sobą lampę... może na zawsze jestem tu zamknięta. ... to dobrze, .. Marjo! ja ci sprawię kosztowne szaty, oddam ci moje dobra, .. będziesz z Ludwikiem szczęśliwą ... wstań ... ja, albo miejsce twoje zastąpię, albo najniższe pełniąc przy tobie posługi, uniżę swoją pychę i skażę na wieczne siebie męczarnie... bo Ludwika kocham ... ale dla ciebie, której tak wiele wyrządziłam złego, i dla niego, wyrzekam się nadziei ... Marjo! wstań, zlituj się, przebacz mi... ty łagodna, dobra istoto, wstań, przebudź się.. bo ty tylko snem ujęta ... Marjo! Ludwik przyjdzie .. on cię uściska ... a jak to słodko zyskać uścisk kochanego...

— Daj mi swoją odzież, już nie żyję, — daj mi odzież, ja cię muszę

wskrzесиć,... mojej woli nie się dotąd nie oparło.... Ma.. rjo! Mar.. jo!

Głuchy odgłos upadającego ciała, wyrwał Buczysa z osłupienia. Na półce leżało wiele niedopalonych świeczek, pozostałych od obchodu rocznicy śmierci Marji, w czasie którego tak okropna z szlachtą wydarzyła się scena; — Buczys dobył krzesiwa, zrobił ognia i zapalił jedną z nich. Przy trumnie Marji leżało drugie ciało — Elżbiety.

— Pomocy, — zawołał Buczys dobywając ostatnich sił, a wkrótce czterech bandytów podniósłszy grobowy kamień, zeszło po wschodach do mieszkania zmarłych.

Jakiż to okropny obraz! Wśród trumien i ścian, śliskim, wilgotnym pokrytych śluzem, przy odbłyску migającego światła małej świeczki, odkrytych zwłok kobiety, obok której nie-

szczęsna pomiotelka i straszny znajdował się puhar; w obec zbrojnych, ponurych twarzy ludzi, leżał człowiek z którego spadła burka, odsłoniła pierś kobiecą.— Buczys i Wiech wiedzieli tylko o płci przybysza; ani Czywas, ani dwaj inni nie sądzili nawet, aby gruba kurtka okrywała słabe niewieście ramiona.

Elżbieta nie osłabła, uderzenie krwi było chwilowem, a pomoc bezpotrzebną. Buczys rozkazawszy swoim znowu się oddalić, postawił na półce świecę, a sam podniósł Elżbietę.

— Idź do domu... tu ciężkie powietrze.

— O! tu mi bardzo dobrze.... Nie uwierzysz, jak mi tu dobrze.

— Ale czas... przeszło godzinę znajdujesz się tutaj.

— Już nie powrócę do starosty.

— Nie możesz tu zostać. Nocy bowiem dzisiejszej opuszczam na zawsze to moje schronienie — niesprawiedliwości chcę zapomnieć, cierpienia zagłuszyć, a błędy poświęceniem się zatrzeć... wojna, będę walczył... może umrę.

— Ja pójdę za tobą, Ludwiku, mam dosyć sił, będę obok ciebie potykać się z nieprzyjacielem; — a jeśli zginę, Ludwiku — zlituj się — niech tu przy Marji grób mój będzie.... W nocy, tego smutnego listopadowego dnia, kiedy Boska prawica dozwala душom wrócić do zmarłych ciał, będę błagała Marji o litość, będę lizała jej nogi, krwią własną pomaluję trumnę... dobrze Ludwiku?

— Ty dzisiaj obłąkana, Elżbieto!

— Nie.. szczęśliwa... Ludwiku, ja szczęśliwa; — pocałuję Marję — a — potem — ciebie; — ale — ty nie pozwolisz,

ty mnie odepchniesz, podepczesz biedną Elżbietę, — a ona, łzami oblewała łat dwadzieścia swoje łóżę, nie miała jednę chwili spokojnej — i za życie Marji doczesne — chętnie oddałaby swoje wieczne. — Ludwiku, ty mnie nie kochasz, nie możesz kochać, ale przynajmniej dozwól, niech ci służę, czem chcesz będę, okryję się hańbą, niesławą, będę twoją służącą, niewolnicą, poddanką — i nie chcę miłości — pragnę przebaczenia tylko.

Dumna kobieta, Elżbieta, leżała u nóg Buczysa, ścisłała jego stopy, biła o ziemię czołem; z pod małej czapki, rozwinęły się pukle długich, czarnych włosów, i okryły całe plecy; Elżbieta podniosła głowę, twarz jej łzami zalana błagającego była wyrazu, i zdawało się oczekiwać wyroku, który miał być dla niej stanowczym.

— Nie, Elżbieto, jeżeli mnie kochasz, wykonasz prośbę moją.

— Od chwili dobrowolnego mego wyrzeczenia, jestem twoją... czekam zatem rozkazu.

— Nie, proszbie uczynić zadość.

— Słucham.

— W Wilnie jest klasztor siostr miłosierdzia.

— Słucham,—powtórzyła Elżbieta, składając ręce jakby do modlitwy.

— Zostań zakonnicą... będziesz się poświęcać dla chorych, cierpiących, sierot,... znajdziesz ulgę w cierpieniach.

— A jak umrę, kto mnie tu pochowa... wszakże i ty pewno pod tem sklepieniem spoczywać będziesz?

— Ja będę dla ciebie bratem, odwiedzę cię w klasztorze, będziemy razem płakać nad Marią, i nad sobą.

— I nad sobą.... Dobrze, ja będę zakonnicą, ale... ale... musisz... nie, błagam cię tylko o...

— O?

— Marji tu nie zostawimy. Każę ją przenieść na wileński smętarz, a jak wolno mi będzie, pójde ubarwić kwiatami jej mogiłę;— ona grób mojej matki zawsze niemi ozdabiała.

— Zezwalam.. a teraz wracaj do domu, ja cię odprowadzę.

— Ach! Ludwiku! mój Ludwiku... rozłączamy się na zawsze, a nawet i w wieczności nie będziemy razem.

— Bóg.

— Wielki..... amen.

.

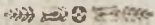
W dwa miesiące starosta wybierał się do Wielko-polski, dla urządzenia stanu majątkowego Elżbiety.

O bandytach nic nie wiadzano.

W klasztorze szarytek, w Wilnie, przyjmowano do nowicjatu kobiety nie pierwszej młodości, lecz piękną jeszcze. Wnosiła ona z sobą połowę ogromnego majątku, który na cele dobroczynne przeznaczala, drugą połowę zostawiła dzieciom swojej siostry. Była to Elżbieta.

W Trokach było spokojnie, Sulejman z córkami i przyjaciółmi swymi odwiedzał grób wdowy Joanny, i codziennie modlił się o zachowanie Rudolfa.

Jan, syn węglarza, przepalał węgle, a Meda w Giwokorach leczyła swoich pacjentów.



V.

DZIEŃ TRZECI.

Dzień miał się ku schyłkowi, mnóstwo ludu przechodziło się po ulicach Warszawy, która wówczas mieściła w szczupłym swoim obrębie dwóch sławnych wieku tego mężów.

Było to 1705 r. Tłumnie przechodzący się z przybraną w bogate kontusze szlachtą, lub też z szwedzkimi żołnierzami, i gawędki prowadzone na chodnikach, wywabiły mieszkającego na czwartem piętrze Rudolfa, do wyjścia

z domu; chociaż bardzo był zmartwionym, widząc kierunek rzeczy w Karola dłoniach.

Nieznany od nikogo, ale spokojny i pobożny, nie obudzał podejrzenia żadnego stronnictwa, a nawet nie ściągał na siebie najmniejszej uwagi. Deszcz zaczął padać, Rudolf owinał się w burkę z samodziálu, i przeszedłszy przez ciasne Staromiejskie uliczki, a potem Krakowską bramę, szedł Krakowskiem przedmieściem, nie mało zniszczonem ciągłemi walkami, jakie bardzo często na ulicach jego staczano.

Już ominął Kazanowskiich pałac, i zbliżał się powolnym krokiem, zamyślony, ku Sto-krzyżkiej świątyni, kiedy przechodzący człowiek potrafił go dosyć mocno. Rudolf obejrzał się i poznał Darwerda w strój szwedzki przebranego, który idąc w towarzystwie młodzieńca, w podobneż szaty odzia-

nego, roztrącał przechodzących, kłął, i rzucał rękoma, jak gdyby komu groził.

— Mój Boże, — przemówił do siebie Czekanowski, — to on, współ-sprawca wszystkich moich nieszczęść. Cóż go sprowadziło do Warszawy? — i zwrócił się, chcąc wyśledzić mieszkanie swego wroga.

Darweid, zawsze podejrzliwy i nieufający, oglądał się bardzo często. Może też i myśl, że jest poszukiwanym przez sprawiedliwość, nakazywała używać mu tego środka, dla zapewnienia sobie czasu do ucieczki, jeźliby takowa jedyną była drogą schronienia się przed surowością prawa.

Rudolf nie chciał być poznany. Podniósł kołnierz swojej burki, a czapkę nasunął o tyle na oczy, o ile tylko możność dozwalała. Tak zabezpieczony, szedł o kilkanaście kroków za Dar-

werdem, który nakoniec wstąpił do jednej z szynkowni.

Rudolf postanowił czekać na wyjście jego, — i, aby nie ściągnąć podejrzania, przyglądał się bernardyńskiemu kościolowi, zwracając rzeczywiście ciągłą uwagę na drzwi karczemne. Ale późno już było, a Darwerd nie wychodził. Bramy miasta zamknięto i Rudolf pozostał na ulicy.

Czekanowski niedługo namyślał się. Potrzeba znagłała go do wynalezienia przytułku pod dachem, bowiem na ulicy nie było bezpiecznie. Wprawdzie drzwi szynkowe były jeszcze otwarte i mógł tam znaleźć nocleg, jednakże Rudolf nie chcąc spotkać się z Darwerdem, wołał w klasztorze prosić chwilowego schronienia. Zadzwonął przeto do furty księży bernardynów, i wkrótce usłyszał zapytanie odzwier-

nego, na które z całą szczerotą odpowiedział :

— Poczekajcie, — rzekł przeze drzwi braciszek, — muszę przelożonemu klasztoru donieść.

Nie długo wprowadzono Rudolfa w klasztorne zabudowania. Na podwórzu stały dwie bryki, jedna kryta, druga polowa, ładowna. Z tej ostatniej służący wynosili tłomoki. Braciszek zapytał Rudolfa, czyliby nie potrzebował posilku, i zaprowadził go do refektarza, gdzie, z wielkiem podziwieniem ostatniego, starosta Wilczyński z córkami siedział przed kominkiem i rozmawiał z kustoszem.

Czekanowski, obyczajem naszych naddziadów, powitał siedzących Chrystusowem imieniem, a potem usiadł w ciemnym kącie, nie chcąc przery-

wać rozmowy, która dosyć żywo zajmowała pocziwego kapłana.

Wilczyński opowiadał wypadki, jakie go zmusiły do przedsięwzięcia podróży do Wielko-polski. Czekanowski słyszał tam i Darwerda i swoje także nazwisko kilka razy powtórzone. Kilkakrotnie chciał zbliżyć się i podziękować za dobrą opinią, jaką dawał, o tym *niezwyczajnym dzieciuchu*, Wilczyński, ale wstrzymywał się, pragnąc końca rozmowy być świadkiem, z którejby może cokolwiek o losie Ayeszy mógł się dowiedzieć.

— Wieczerza na stole, — przemówił kustosz, — prosiemy cię starosto, a jeżeli pozwolić raczysz zawezwać do niej nieznanomego przybysza?

— Gospodarzu uprzejmy, — odparł starosta, — zwyczajów zakonnych nie chciej zmieniać, dla jednego ubożelnego slugi swego.

Kustosz podszedł do Rudolfa, który tak bardzo był rozlagniony, że ostatnich słów rozmawiających nie słyszał, i nie zważał wcale co się wokoło niego działo. Ksiądz, mniemając, że to jest jeden z tych gminnych ludzi, którzy w obec bogacza z miejsca nie ośmielają się poruszyć, zbliżył się do Czekanowskiego, wziął go za rękę, i rzekł:

— Pójdźże, przyjacielu.

Czekanowski zrzucił bukę, a kibić jego zgrabna i smagława postawa, zwróciły uwagę dziewcząt; ścisnął rękę kapłana, a potem śmiałym poszedł naprzód krokiem, i powitał starostę.

— Albo mnie oczy mylą, albo jesteś tym pocziwcem, którego Troczanie od śmierci obronili.

— Tak, ja jestem tym samym Rudolfem Czekanowskim, trockim ryba-

kiem, o którym, dostojny panie, przed chwilą tak zaszczytne zdanie objawiać raczyłeś.

— A, luby dzieciaku, pójdź do mnie, mało cię osobiście znałem, ale o dobrych czynach, rozgłos daleko wieść niesie.

— Nie tyle czynów, ile łaskawego sądu.

— Dosyć synu, nie używaj dworskich wyrażen, Bogiem się świadczę, że one nie z nieba pochodzą, — rzekł z zwyczajną sobie otwartością, lecz równą także łagodnością, starosta.

— Panie, — z godnością odparł Rudolf, — nie byłem na dworach, a pod słomianą strzechą kochanej matki, nie uczyłem się słów przewrotności.

— O! kochanku, nie mówiłem abym cię chciał obrażać, o! nie, nigdy usta moje rozmyślnie nie dotknęły bliźnie-

go, ale, powiem ci otwarcie, twoja skromność zbyteczna; jesteś zuch chłopak, wzorowy przyjaciel, syn i obywatel; a takiemu jak ty, Karol był zawsze bratem lub ojcem. Cóż tu porabiasz? jakżem szczęśliwy, że cię spotkał; a toć jeszcze nie zapomniał usługi, jaką mi wyświadczyłeś, przewożąc na Trocką wyspę, w dzień święta Marji Dziewicy;... ale to nie dobrze, siedziałeś w kącie i nie powitałbyś mnie może, gdyby ksiądz kustosz, szkolny mój kolega, do wieczery cię nie poprosił;... przypominasz ojciec tę nieszczęsną jezuicką ławkę?— dodał starosta, rozmowę zwracając do kapłana.

— Oj! nie zapomnę jej nigdy, ale siadajmy: kruchu u nas, bo to niespodziewaliśmy się ciebie Karolku; lecz ty zawsze spadasz jak z obło-

ków;... no siadajmy, proszę bardzo, bez ceremonji, po naszymu.

*

— No, posililiśmy się,— rzekł starosta kładąc łyżkę,— teraz, kochany koleżko, każ nas zaprowadzić do mieszkania, jakie tam nam wyznaczyłeś; a ciebie chłopcze, proszę jutro do siebie, pogadamy; o! całą noc chciałbym z wami strawić, gdyby nie złe drogi, które mnie nielitościwie strudziły. Dobra noc; dziewczęta, idźmy!

Znajomości z starostą winien był Rudolf, że go ksiądz kustosz do swojej celi na nocleg zabrał. Uprzejme obejście się i opowiadanie Wilczyńskiego o Rudolffie, zupełnie zjednały mu przychylność zakonnika.

Po pierwszej mszy, Rudolf wyszedł do miasta, aby przenieść się do klasztoru, w którym mu, w czasie pobytu w Warszawie, na zawsze ofiarowano mieszkanie.

Gdy przeszedł furtkę, właśnie szynk, do którego zeszłego wieczoru wszedł Darwerd, otwierano. Czekanowski zatrzymał się znowu, spodziewając się, że przecież nieprzyjaciel jego wyjść musi. Muszę wam powiedzieć, że to było w październiku, czwartego dnia, — zapewne już wiecie, że w tym dniu odbyła się koronacja Stanisława Leszczyńskiego i jego małżonki Katarzyny z Opalińskich, na polskiego króla, otóż i o tem także dobrze wiecie, iż w październiku małe dnie, i dla tego Rudolf, gdy wyszedł na ulicę, ciemno jeszcze było. Czekał on na Darwerda aż do świtu, ale ten ostatni, grał całą noc w karty, a dopiero nad dniem położył się na ławie i usnął. Jakkolwiek przeto Czekanowski bardzo pragnął wynaleść stałą kryjówkę zbrodniarza, wszelako sądząc, iż on szynkownię w nocy opuścić musiał,

odłożył na czas późniejszy poszukiwania, a sam udał się w Staromiejską dzielnicę.

Wszystko uroczystą przybierało postać. Okna zamku królewskiego liczne przebiegały światła, śnać przysposabiano pokoje dla nowego króla; przed bramami roty jezdnych szykowały się, a mieszczenia i pospólstwo tłumem cisnęli się do murów zamkowych, pragnąc ujrzeć oblicze monarchy, którego cnoty poprzedzały.

Nowe to były obrazy dla oczu Troczanina; nie śmiejąc się przeto z niego, widząc, jak oparty o pomnik III Zygmunta, wpatruje się w te masy ludu, sercem życzliwe Stanisławowi, co to potem uszczęśliwiał Lotaryngczyków.

Po deszczu dnia zeszłego, słońce promiennie zabłysło na horyzoncie; i ono przychylniejsze było Leszczyń

skiemu, aniżeli smutne losy; jasne, pogodne oblicze jego odbiło się na koronie Bolesławów, włożonej przez arcybiskupa lwowskiego na skronie Piasta. Głośnie wykrzyki narodu mieszały się z hukami dział i odgłosami dzwonów wszystkich kościołów stolicy, trąbami, kotłami i chórem kapłańskim, śpiewającym hymn Ambrożego świętego.

Uroczysta to, nader uroczysta scena, kiedy naród królowi, król narodowi wzajemnie składają przysięgi. Rudolf, lubo także, jak po większej części Litwa, nie oświadczał się za Stanisławem, uważając go jako siłą tylko szwedzką narzuconego, jednakże w świątyni Pana ludów, pochylił kornie czoło, i, jeżeli nie życzył w tej chwili królowania Leszczyńskiemu, to pewno błagał Boga o szczęście dla niego, bo ta sarmacka twarz, odwagę z prawo-

ścią jednocząca w sobie, nie podbijała lecz pociągała ku sobie ludzi.

Obrzęd się skończył, i dopiero Rudolfowi na myśl przyszło, że trzeba zapłacić poprzedniemu gospodarzowi i ubogie swe rzeczy przenieść do klasztoru. Uskutecznił to w niespełna godzinie, a siedząc u stołu z starostą i kustoszem, nie mógł dosyć znaleźć wyrazów, na odmalowanie widoku którego był widzem.

— Miasto podobało ci się, synu? — przemówił starosta.

— Na czas piękna Warszawa, ale tęskno bez Trok.

— Czy chciałbyś powrócić?

— Nawet bardzo, ale mam zlecenie od współobywateli, dopełnić je chciałbym nicodzownie.

— Jakież, może ci będę mógł pomóc?

Czekanowski opowiedział powód wyjazdu swego z Trok, o którym nie bardzo dokładne posiadał wiadomości starosta, a gdy skończył rzecz, zapytał go ostalni.

— I cóż teraz uczynisz? kazano ci udać się do Augusta; a gdzież go będziesz szukał.

— Do Leszczyńskiego nie pójdę; zawiódłbym położone we mnie zaufanie.

— Prawda to, ale powiedzże mi co zrobisz; jeśli wzięcis sam jeden, możesz paść ofiarą złoczyńnych zamiarów Darwerda. Słyszales bez wątpienia wczoraj, siedząc w ustronnym kąciku, że zuchwalec ten targnął się na moje życie, a obawiając się kary, jakaby go dotknąć mogła, zapewne tula się po lasach i trudni się rozbojem, bowiem od czasu napadu, żadnej nie ma o nim wiadomości;... a nie zgę-

nał, o tém mogą nawet służący moi zapewnić, którzy przy grzebaniu poległych obecnymi byli.

Rudolf nieprzerywał mowy staroście, lecz gdy ten skończył swoje uwagi, odpowiedział:

— Darwerda się nie obawiam i spodziewam się, wprzód nim powrócę do Trok, ułatwić się z tym ichmościem.

— A gdzież go znajdziesz?

— W Warszawie.

— Co mówisz?

— Prawdę. Widziałem go wczoraj, wszedł do szynkowni, leżącej naprzeciwko klasztoru.

— Jesteś tego pewnym?

— Zupełnie.

— A gdzie potem się udał?

— Zdaje się, że tam noc całą pozostał. Czekalem długo, ale gdy już zamknięto bramy miasta, i ja do pomieszkania dostać się nie mogłem,

prosiłem o schronienie w klasztorze, w którym dostojnego pana zastałem.

— No, widzę, że to u ciebie w zwyczaju być nadto grzecznym. Nie źle to mówić pięknie. Sarbiewski i Orzechowscy, to byli nasi Demostenesi, idziesz w ich ślady.

— O! panie! jakże mi daleko.

— Pracuj, pracuj, chłopcze; wytrwałość i praca wszystko pokonają.

— Tak, na chęci do pracy nie zbywało mi nigdy, lecz nie mam matki, smutek mnie dręczy, dla kogóż będę pracował? nie pysznym, dostojnictwem i sławy nie pragnę, żądam spokojności, a spokojność może tylko obok mogiły macierzyńskiej znaleźć.

— Młodzieńcze, nie sarkaj, woli Boskiej poddaj się z pokorą, bo cnota ta, cnotą tylko być może przed Bogiem; kto się uniża i płaszczy przed bliźnim, kto czołga się i ociera kurz obuwia

jego, wierz mi synu, nie jest pokornym, lecz podłym. W tobie chciałbym widzieć pokorę dla Boga, miłość dla ludzi; bo ty powiadasz mi o swojej matce z tem prawdziwie synowskiem uczuciem, jakie rzadko gdzie napotykamy. Rudolfie, pozwól ci zdanie moje objawić, twierdzisz, że nie masz dla kogo pracować, nie mając małki; — nie masz-li przyjaciół, nie znajdziesz nieszczęśliwych, którym lzy boleści otrzeć tak przyjemnie, nie spotkasz-li wrogów ludzkości, których obowiązkiem człowieka jest albo poprawić i zniewolić do wyrzeczenia się błędów, lub też siłą pokonać? Omyliłeś się i zapomniałeś o przeznaczeniu naszym. O to widzisz, ja potrzebuję pomocy, potrzebuję młodej, silnej, żywej ręki, energicznego ducha człowieka, z zupełnem poświęceniem się, a przytem poczciwego, łagodnego i kocha-

jącego nawet złych ludzi; ty jesteś takim człowiekiem, w nagrodę twoich usług mogę cię nazywać synem?

Wilczyński spostrzegłszy pomieszanie Rudolfa, na niespodziane jego zagadnienie, mówił dalej:

— Czy nie chcesz zrozumieć słów moich, Rudolffie; ty mnie od pierwszego naszego poznania się, podobaleś się bardzo. Jesteś sam, sam jeden... i ja także znużony życiem, ranami okryty, potrzebuję wypoczynku, ktoś mnie wyręczy; córki, czyliż na kobiety wkładać męzkie przystoi obowiązki? Wypadek może to uczynić, ojciec nigdy. Ty możesz zaradzić temu, gdybym ci ofiarował wynagrodzenie, wiem, że wówczas nie przyjąłbyś przychylnie mego żądania, i czuję, że ja także nie postąpiłbym tak, jak mi serce powiada. Pozostań przy mnie, ja ci zastąpię miejsce matki—i— będę się sta-

rał godnie odpowiedzieć przyjętemu obowiązкови....

Rudolf milczał.

— Nie chcesz, Czekanowski?

— Nie, pragnąłbym starosto nie tylko twoim synem, ale nawet pozostać służącym, ale...

— Kochasz się... a któż ci będzie wzbraniał ożenić się.

Młodzieniec stał zapłoniony.

— Przecież to nie zbrodnia, — dalej rzecz swoją prowadził Wilczyński, — ja nawet, jeżeli na to pozwolisz, przyspieszę twój związek... i któż jest ta szczęśliwa?

— Gabrjela Sulejmana córka.

— Gabrjela? przyjaciela twego, dla którego na tyle niebezpieczeństw narażałeś się.

— On godzien największego szacunku.

— mój szwagier, dobry

Gabriel, — myślał Wilczyński, — potrzebaż szczególnego zdarzenia, dawałem mu pomoc do ożenienia się z Klarą, teraz córkę lubej mi siostry wydaję może za męż... jakże przyjemnie.... jakież radość przeżywa me serce.

— .. I któraż? — głośno przemówił starosta.

— Ayesza.

— Ta co była porwana?

— Ta sama. Czy wynaleziona?

— Nie wiem, mniemałem, że odzyskaliście ją przed twoim odjazdem.

— Tak, nie powinienem był Trok opuszczać; może ona dotąd cierpi, ach! muszę koniecznie Darwerda przydybać.

— Węc to on targnął się na mo... na Ayeszę.

— On i Zaboloski.

— Ten, ten hulaka, Edward?

— Ten sam.

— No proszę, a ojciec, spokojny starowina.... ale czekaj, podobno i na Zabohoskiego najechano, a nawet starego uwieziono?... wspominał mi o tem Bartłomiej...

— Czy zawołać go?

— Posłany do miasta. No, ale oddaliliśmy się od naszego przedmiotu; Rudolfie, zechcesz odmówić moim prośbom?

— Nie, starosto; na zawsze przy tobie zostanę, jednakże w takim razie prosiłbym o pozwolenie odwiedzania Trok.... tam jest grób mojej matki.

— O! mógłżebyś mniemać, że z serca twego wyrugować chciałem synowskie uczucia? Będziemy wszyscy tam jeździć... i twoja żona.... ale ona zostać musi chrześcijanką,—dodał starosta, przypominając sobie, że rolę udawania nie najlepiej odgrywa.

— Ona jest chrześcijanką.

— Jak to?

— Tak, panie.

— Panie,... raczej ojciec.

— Ojciec,... dobroczyńco,—zawołał Rudolf, i rzucił się w objęcia starosty, który myślał w sobie:— Moja siostrzenica, dostanie dobrego męża, ale i ja nie będę dla nich złym wujem!!

— Otoż i Bartłomiej,—zawołał starosta, ujrzawszy wchodzącego sługę,—co powiesz nam, stary, co tam słyszałeś w Trokach, po raz ostatni w nich będąc?

— Oj! to długa historia; ale jeżeli jegomość każe, to i będę gadał. Otoż za przybyciem do Trok, stanąłem sobie w gospodzie Judki, tego samego żyda, co to zbójcy tak zabawnie skąpali, a ten żyd nuż mnie rozpowiadać, jak te wszystkie zdarzenia, jedno z drugiego następowały, a nawet, że i na-

jazd na jegomości dwór związek z
 tém miał. Mnie się to nie zdawało,
 więc żydowi powiedziałem, że głupi,
 alem za to nie usłyszał nic, bom pił do-
 bry miód, na którym żydzisko nie mało
 zarobił. Dalej gadał on o jakimś
 Edwardzie, jakoby porwał trocką Ta-
 tarkę, i że ta Tatarka miała ojca, który
 ją dzień i noc szukał, a potem nie mo-
 gąc znaleźć, zebrał chorągiew tatar-
 ską, napadł na starego Zaboloskiego,
 a chociaż ten bronił się dobrze, to go
 w niewolę wzięto, dom spalono i za-
 równano. Mówił potem żyd, że stary
 kazał synowi oddać swoją oblubie-
 nicę ojcu, a ten nie chciał; więc miał
 prosić księdza kustosza dobrodzieja
 od trockich bernardynów, ażeby wpły-
 nął na chłopca swemi mowami, a kie-
 dy ksiądz jechał, to mu się objawiło,
 żeby dziewczyny szukał u czarowni-
 cy w Giwokorach, gdzie ją i znalazł,

a potem przywiózł do ojca, z czego pogodzili się Tatarowie z szlachcicem, pojechali, i na miejscu spalonego nowego dom mu wystawili—i ot, wszystko.

— Toś pewny, że tę dziewczynę Tatarowi powrócono?

— Jakże, kiedym ją widział idącą z ojcem i siostrą. Mówił żyd, jak mi ich pokazywał, że chodzą na mogilki, bo taki układ z czarownicą zrobili, a potem jeszcze coś gadał, ale już nie pamiętam; przyznam się jegomości, człek miał trochę w czubku i tylko co ważniejsze, jak spalenie, zaoranie, porwanie, układy księdza z czarownicą, w głowie pozostało, reszta, ot tak,— wykręcając ręką nad głową, mówił Bartłomiej, — razem z miodem wyszumiało.

— To ciekawa sprawa.

— Zapewne, jakże nie miała być

ciekawa, kiedy ojcu córkę wzięto i pod opiekę czarownicy oddano.

Skończywszy opowiadanie, Bartłomiej wyszedł, Wilczyński zaś przechadzał się po korytarzu, a Rudolf stojąc przy oknie, wychodzącem na mały ogródek, bębnił palcami po przepalonych słońcem szybach, i myślał... o Trokach.

— Zdaje mi się, że Sulejman kiedyś wspominał o staroście, czy też matka moja. W istocie nie mogę sobie przypomnieć; jakże żałuję, że nie słyszał opowiadania Gabrijela, które mi zawsze obiecywała matka powtórzyć. Nie, ... nie mogę przypomnieć, ... jakieś niepewne, jak za mgłą wspomnienia... może to sen był, ... ale niezawodnie coś było mówionem o staroście. Mój Boże, to co z powieści ludu słyszałem o nim, na mnie się ziściło. Jakże on jest de-

likatnym w niesieniu pomocy nieszczęśliwym.... ach! może nie długo ujrzę Troki, Ayeszę, Sulejmana... może znowu niegodziwiec jaki, naruszył ich spokojność, ach! gdyby opowiadanie Bartłomieja mogło na większą wiarę zasługiwać, jakżebym był szczęśliwy. Nieszczęsne pijaństwo, ono pozbawia lud nasz rozumu, mienia i drogiego czasu.

— Rudollie, — rzekł zbliżający się do niego starosta, — za wiele myślisz; a upewniam cię, że nie masz powodu martwienia się. Jutro wyjeżdżamy do Leszna, a ztamtąd wrócimy do Trok; a jeżeli będziesz chciał zwiedzić lwowskie okolice, to i tam wstąpimy.

— Ależ wojna, starosto, nie tak łatwo podróżować po kraju.

— Prawda, aleć i nas nie mało, możemy się bronić; lubo nie zawsze

meztwo wyrównać może siłę, jednakże przedwcześnie łchórzyc nie wypada.

— Wszelako ostrożnym być nie zawadzi. Prożno kilku opierałoby się znacznej liczbie włóczęgów, którzy z wszystkich narodów wojsk zbiegając, łączą się w bandy, nie mające na celu nic innego, w dzisiejszym niepokojnym czasie, jak tylko rabunek i łupieżę na publicznych drogach.

— Doskonale umiesz władać moimi chęciami. Istotnie wybór mój nie chybiony. Tyś młody a więcęj baczny od starego Wilczyńskiego, który... kochany synu, powinienby bardzo ostrożnie postępować, tyle bowiem w życiu mojem uderzyło mnie nie-szczęście, że brzask każdego dnia nowem zdaje mi się grozić ciosem. Dobrze więc, nie pojedziemy do Lwowa, ale do Leszna koniecznie potrzeba się udać. To obcej osoby interes, moim

rękom powierzony, opuścić go nie mogę.

— Zaiste, nie sprawiedliwszego, cudzy interes pierwsze przed własnem trzyma miejsce,— uczynił uwagę Rudolf, — ale czyliby starosto nie lepiej było, córki wasze w Warszawie pozostawić, byłyby bezpieczniejsze, a podróż nasza rychlejsza.

— Słusznie mówisz, jednak zostawiając młodsze, Karolinę z sobą zabrać muszę. To kozak, nie dziewczyna; wywija szablą po ussarsku, a strzela, dalipan nie przesadzę, tak dobrze jak nasze kurpiki.

— Tym sposobem lepiej odemnie, gdyż o kilka kroków strzelając, chybiłem.

— Przywodzisz na pamięć przedmiot, który nie bardzo pochlebnie o zimnej twojej krwi świadczy; gorączka, młodzieniaszek,... obelga burzy

istność naszą, ale chcąc rzucającego nią ukarać, koniecznie trzeba umiarkowania, czasu, baczności. Lepiej byś był zrobił, gdybyś się mu nisko uklonił, a w Trokach dopilnował i postarał się do wieży wsadzić; myślę coś podobnego o Darwerdzie, tym próżnym człowieku, pełnym chęci posiadania bogactw; a jeżeli i twój przeciwnik miał w najeździe udział, to kto wie, może i jemu przy pierwszym dostanie się. A teraz idę, ułożyć się z przełożoną panien bernardynek, gdyż u nich zamierzam pozostawić Zuzannę z Julją,... bywaj zdrów, Rudolfie.

Zaledwie starosta wyszedł na ulicę, Rudolf pośpieszył za nim. Popatrzył do koła, a potem chyżo pobiegł ku S. Krzyżowi. Zapewne mniemał spotkać znowu tam Darwerda, ale tego ostatniego już nie było w Warszawie.

Rudolf w rozlargnieniu przeszedł około wspaniałej świątyni, i nie wstrzymał się aż gdy ostatni minął przedmieściowy domek. Słońce już dawno zapadło i szara szala rozciągała się na warszawskim widnokregu, kiedy Czekanowski obudził się z zadumienia, a znalazłszy się na Ujazdowskich polach, spiesźnie zwrócił się, i dążył do klasztoru, chcąc jak najrychlej rozmawiać z starostą o Trokach, Sulejmanie i Ayeszy. Mijając Sto-krzyżki kościół usłyszał śpiew. Duchowieństwo wznosiło jeszcze modły o pomyślne panowanie Stanisława, Rudolf mimowolnie wstąpił do domu Bożego, i z zadziwieniem, przy jednym filarze, spostrzegł stojącego młodego Szweda, z którym dnia poprzedzającego widział idącego Darwerda.

Szwed otoczony był kilku mężczyznami, do których czystą polszczy-

zną przemawiał; Rudolf niepostrzeżony stanął za nim, i wysłuchał, lubo nie całą, jednakże może najważniejszą część rozmowy. Wychodząc z świątyni, wiedział gdzie wypada szukać Darwerda, z którym rad był bardzo spotkać się na ostro.

Za powrotem do starosty uwiadomił go o uczynionem odkryciu; Wilczyński bardzo był ukontentowany, i tem więcej przyśpieszał odjazd, pragnąc załatwić interesa, a potem wicherzyciela w gniaździe jego przydybać.

VI.

BEZ W A.

Bytyność starosty w dobrach Elżbiety, nie przeciągnęła się nad cztery tygodnie. Wracał on przez kraj spustoszały, a za każdym krokiem napotykał zniszczone i wyludnione wioski, puste karczmy, i świeże, murawą nie porośnięte jeszcze, w polu mogiły. Broń jego była przygotowaną, i rzeczywiście nie obawiał się napadu, bo przyzwyczajony z młodości do spraw rycerskich, w wieku dojrzałym uważał

je za zabawkę, wprowadzie za okrutną, lecz niekiedy potrzebną.

Z Warszawy wyjeżdżając, dokąd wstąpił po zostawione córki, starosta przybrał dwóch jeszcze służących, obsadzając nimi znacznie lżejszą, aniżeli była przed opuszczeniem domu, polową bryczkę, i tym sposobem mniemał się dosyć być zabezpieczonym przeciwko wszelkim pokuszeniom złych ludzi. Wprawdzie w krytej bryce za ciasno było, ale cóż miał robić, w podróży trzeba znosić niewygody czasami nader wielkie, te starosta uważał za bagatelne, i wcale nie uskarżał się na nie.

Ta to ciasnota była powodem, że nogi siedzących w budzie i na przodzie, mieszały się pomiędzy sobą. Rudolf, ile mógł skupiał i usuwał swoje, ale, nie zdawało się mu, aby Karolina podobnie czyniła; owszem wi-

docznie starała się ona zbliżyć do Rudolfa, bowiem przy każdym wsia-
daniu, obierała miejsce naprzeciw
młodzieńca będące.

I nie było czemu się dziwić. Karo-
lina miała lat ośmnaście, żywa, weso-
ła, na pozór szczera, umiała zręcznie
ukrywać swe chęci, dając im zarazem
kierunek, jaki uważała za najkorzy-
stniejszy dla siebie. Szczupła, mier-
nego wzrostu, zgrabna, nieco śniadej
twarzy, wysokiego czoła, rzucała oczy
na wszystkie strony bez znaczenia,
lecz gdy nastąpił przedmiot go-
dny jej uwagi, wówczas, w biegają-
cych tych oczach, błyskał ogień prze-
nikliwości, a gdy zwróciła na obrany
punkt wejrzenie, wejrzenie to paliło,
nurtowało, szukało myśli, uczuć, uspo-
sobień i zdolności. Karolina rzadko
kiedy w postrzeżeniach swoich my-
liła się, prawie zawsze odgadła cha-

rakter osoby, do której ją okoliczności zbliżały, i wprzód wiedziała, czy będzie mogła dowolnie nią powodować, nim słyszała głos badanej przez się istoty. Do tego wszystkiego, dodajcie nadzwyczajną łatwość pojmowania rzeczy, wysoką edukacją, gładkość wysłowienia się, a będziecie mieli doskonały jej obraz.

Poznała ona od razu, że Rudolf, którego ojciec zupełnem zaufaniem zaszczycał, mógłby w czasie niepoko-
nane stawiać w zamiarach jej trudności, potrzebowała go więc ująć dla siebie za jakąkolwiek cenę. Czula także, iż niczem więcej nie zdoła go pokonać, jak tylko zrodzeniem w nim uczucia miłości, i dla tego rozpoczęła atak śmiały, natarczywy, któremaby z trudnością oparł się doświadczony człowiek, a nie dopiero dwudziesto-dwu letni mężczyzna.

Nie możemy powiedzieć, iżby Rudolf nie podobał się Karolinie. Owszem łączyła tu ona i miłość i interes;— i spodziewała się, kojarząc się z nim związkiem małżeńskim, nie tylko mieć męża, lecz także narzędzie wykonywające jej zamiary. Gdyby postępowała powolnie, łagodnie, poddawałaby się pod wolę mężką, której ulegać nigdy nie myślała; przeciwnie nagle, niespodzianem a obrotnem działaniem, postanowiła wprowadzić Rudolfa w położenie, z którego niemógłby wycofać się, bez stracenia na opinii w oczach jej ojca.

Plan był doskonały, i, dalibóg, lepszy, aniżeli teraz pleć piękna czasem wynajduje, lepszy pod względem korzyści;—jaki w stosunku moralnym, zostawiam waszemu sądowi.

Wiemy, co to jest dotknięcie się ręki kobiecej, bośmy przecie już prze-

żyli wiek Rudolfa, wystawiliśmy przeto sobie uczucie, jakie miała nóżka, palająca nawet przez trzewik i grubą skórę naszego obuwia, sprawiała opierając się na palcach Rudolfa. Z początku myśl jego Ayeszą była tylko zajęta, potem nastąpiło rozłargnienie, dreszcze przebiegały ciało, serce tętniało, żyłki oczu nabiegały krwią. Czekanowski, mimowolnie, siedząc na przodzie, zmuszony był patrzeć na grę oczu Karoliny, którą młoda ta kobieta przewybornie już знаła, i nie mógł oprzeć się temu blaskowi, tak ponętnemu, tak bardzo często fałszywemu.

I te wrażenia spostrzegła Karolina. Duma jej tryumfowała. Kobiety bardzo lubią patrzeć na rodzącą się niepokojność, która poprzedza miłość, nie wiem dla czego, ale wiem z pewnością, że tak jest; chociaż daleki

znowu jestem od zaprzeczania, aby nie cierpiały same wtenczas, gdy się dowiedzą o dolegliwościach kochanka z innych powodów nastąpionych. Nie umiem wytłomaczyć sobie tej różnicy, ale też i kobiety wyjaśniać jej nie chcą.

Gdyby Rudolf śmiały krok Karoliny, śmielszym odparł czynem, byłby może w samym początku zniweczył jej plany, ale kilkunastodniowa podróż, w której, nietylko obronnej nie trzymał się zasady, lecz przeciwnie okazał jawnie niedoleżność swoją, wtrąciła go w położenie, z którego potęfność i zbliżenie się źródło biorą.

Bez przypadku stanęli w dobrach starosty. Rudolf, który natychmiast byłby pobiegł do Trok, holdował jednemu wejzeniu Karoliny — wahał się jeszcze — ona to zrozumiała, zbliżyła się i cicho poszepnęła:

— Wszyscyśmy strudzeni podróżą; wszakże prawda, nie pójdziesz zapewne dzisiaj do Trok?

Zapytanie to było wymówione głosem pół-środkowym, rozkazu i prośby.

Rudolf pozostał.

Przy wieczerzy, opowiadał hajduk dworski, o mającem nastąpić wyruszeniu Tatarów.

— I starzy i młodzi, — mówił on, — wszyscy wsiedli na koń, mało mówią, ale postrzyli szaszki, a proporce lsknią się, gdyby je pilnikiem ślósarz przeciągnął i wypolerował. Lecz i nasi jakoś nie myślą za piecem siedzieć. Wszystko w ruchu; czekałliśmy tylko na naszego pana, bo to jakoś i tęskno i wstydno, pozostać w domu; a tém więcej, że i chętką nie miała na harce wziąć Szwedziątek;... już tam pono Car Piotr, parę razy ich pokropił, a my tu siedzie-

my i patrzymy obojętnie, jak byle
jaki chudeusz, wyrowadza bydelko
z komory i ogalaca stodolę z pracy
naszej... a przednówek jaki będzie?...
oj, panie, ja stary sługa, wierny
Szczepan, niech mi wolno będzie, na
schyłku życia, trętwiącą ręką prze-
żegnać karabelę z pół kopy szwedz-
kich rycerzy. — I hajduk potrząsał
miłosiernie głową, i czekał pańskiego
przykazu.

— To dobrze, — powolnym głosem
rzekł starosta, — cieszę się, ale, poje-
dziesz ze mną.

— O toż to raj, to moje rozkosze,
obok pana to i więcej odwagi; oj bę-
dziesz to muzyka, jak karabelę za-
świecimy w blade Karola żołnierzy
oczy. Bo, jegomość kochany, u nich
w oczach tylko bielmo, nie lubię ich.

— O! wierzę... na jutro rano przy-
spobisz moją zbroję, podobno na

helmie złamane pióro, odszukaj innego... a waść... Rudolfe?

— Słowa mego nie odwołuję, i nie opuszczę ciebie starosto.

— A zbroja?

— Będę się lekko potykał... azaliż Tatarzy żelazem pierś okrywają, a biją, biją połącznie... jam w Trokach wychowany, świadom szabli i proporca, pozwolisz przeto, zacny ojcze, odrzucić przyłbicę i pancerz, a kordem i siebie zasłaniać i wrogów płoszyć.

— Pięknie to, aleć waść sam o ostrożności wspominałeś mi kiedyś.

— O! mój ojcze, — przerwała Karolina, — chciałżebyś sprzeciwić się żądaniu naszego przyjaciela, on będzie przy twoim boku, a twoja przytomność i pewne razy dzielnej dłoni, rękojmnią być mogą całości Rudolfa. Nie odmawiam mu bynajmniej mężstwa i odwagi, ale powinien przecież

pamiętać, że młodzi kształcą się z wzorów starszych; kiedyś i on może synom swoim za łarcz wystarczy.

— Pani, — odrzekł Rudolf, — nie potrzebowałaś się usprawiedliwiać, twoje słowa były wyrazami prawdy, która objaśnień żadnych nie wymaga.

Karolina z siostrami przenieść się miała do Trok, w dworze zaś tymczasowym zarządcą ustanowiono Bartłomieja. Najstarsza córka starosty nadzwyczajnie była zadowoloną z nagłego odjazdu ojca i Rudolfa, nie dowiadującego temu ostatniemu odwiedzić nawet Trok, w których, mając samą następnie mieszkać, miała nadzieję, że kochankę Czekanowskiego, którą zawsze za mahometankę uważała, będzie miała sposobność poznać, obfitem w wynalazki rozumem swoim zniewolić do zamążpójścia, i

tym sposobem zostać panią placu i losu Rudolfa.

Śnieg spadł obfity, mróz zelżał. Około Pietuchowa ciągnie hufiec tatarski, a dwójbarwnymi chorągiewkami igrał wiatr, szepcząc błogosławieństwo Wszechmocnego dla wojowników opuszczających siedziby swoje. Za nimi, w niewielkiej odległości, pospolite ruszenie trockiej ziemi rozwinęło swoje sztandary, pierwsze poczty prowadził starosta, otoczony pancernymi, jeden tylko Rudolf zaknął u strzemięcia lancę na wzór tatarskiej, a pod tygrysią burką nie widać było pancerza, tylko zwyczajny szlachecki stroik. Wszakże ci to pod Beresteczkiem, nie pancerni odnieśli zwycięstwo!

Piękne rotty, młódź wesola, starcy poważni, a jedno uczucie pierś żywi. Zobaczymy jak się w sprawie pokażą.

Początek grudnia. Na śniegiem okrytych bloniach toczą się boje z różnem szczęściem stron obu,— nie widać tam jednakże ani Tatarów ani też Troczanów,— oni pod Lidą i w Lidzie obozują, wysyłając rozjazdy na wszystkie strony, sprowadzające zazwyczaj albo żywność, albo też pojedynczych jeńców szwedzkich.

Mróz silny, niebo iskrzy się gwiazdami, wiatr północny pociąga. Któż to od Grodna pędzi, rumak rzuca w powietrzu zlodowaciałe bryły śniegu, parska i pianą bieli swoje kopyta.

— Kto jedzie?

— Na koń, bracia, Szwedzi pod Grodnem.

— Hasło?

— Marja... Galileja.

— Ach, to panicz, to nasz kocha-

ny Rudolf,— zawołał stojący na straży Szczepan.

— Na koń, na koń!

— Do broni bracia, do broni!

Takie okrzyki rozlegały się po ulicach Lidy, a wkrótce z zamku zabrzmiały wojenne trąby.

Była to noc, dnia świętego Tymoteusza (1).

Północ przebiła. Głucha spokojność osiadła na ulicach Lidy, tylko gdzieś niegdzie stał mieszczanin, cicho mówiąc pacierz, i łzą zwilżonem okiem żegnając współbraci, których śnieżyły tuman przed okiem jego zasłonił.

— Allah! Allah! ... Allah!

— Hurra! Hurra! ... naprzód!

Piechota szwedzka rozwinęła ogień. Wyknęły działa, jazda rzuciła się prze-

(1) Z 24 na 25 stycznia 1706 roku.

ciwko oskrzydłającym ulanom i Troczanom.

— Allah! . Allah! . Hurra! Allah! naprzód, znowu okrzyki jeźdźnych zagłuszyły huk broni ręcznej, i proporce pochyliły się godząc w pierś nieprzyjacielską. Na prawo szable trockie wznosiły się i opadały, rozbryzgując na białą powłokę ziemi, krople czerwonej posoki.

Na całej bojowej linii błyskały ognie, piechoty stały w miejscu, szwedzka jazda cofnęła się, a ścigający ją powitani zostali kartaczami.

Wilczyński padł z koniem. Misiurka Szczepana potoczyła się na bok, a na obnażonej, łysiej starego sługi głowie, sączyła się krew. Ogień działowy pomieszał szeregi, korzystając z tego szwedzka jazda i z radosnym okrzykiem wpadła na Troczanów. Rudolf i Szczepan, nie chcący odstą-

pić Wilczyńskiego, który z pod zabi-
tego konia nie mógł się wydostać, by-
liby zapewne polegli, gdyż już mie-
cze nieprzyjaciół podnosiły się dla za-
dania ciosów, kiedy nagle przez tłum
przebieły się tatarskie lance, a spada-
jący z koni nieprzyjaciele, okazali na-
szym wojownikom, w jaki sposób u-
częstowani zostali.

Starosta dosiadł innego konia, i
znowu poprowadził swoich w zapasy.
W Grodnie zapłomieniły się domy i
rzuciły okropne swe światło na kona-
jący dzień 26 stycznia. Noc zapadła,
a jeszcze walczono, ale ogień był
rzadszy, różne odgłosy mniej częste,
tylko jęki przerywane rannych, tylko
modlitwa niezrozumiała konającego,
wyraźniej przebijały się w pośród
szeregu walczących.

Na pobrzeżu gęstego lasu, w cha-
cie zimnej, z dziurawym dachem, na

garści przygnitej słomy, leżał rozciągnięty mężczyzna z ubielonym włosem; drugi, łysy, z obwiązaną głową, okrywał pierwszego starannie, a sam chuchał w zziębnięte palce. Najmłodszy, rozniecił ogień i porzucił koniom, w stancji także stojącym, wydartą z strzechy słomę. Domyślcie się zapewne, że mówię tu o trzech znanych nam dobrze osobach, to jest: Wilczyńskim, Rudolffie i Szczepanie.

7 Przy drugim ataku Wilczyński odebrał ciężką ranę. Rudolf z Szczepanem uwieźli go z pobojuwiska i umieścili w napolkanéj chacie. Nie wielka odległość od placu bitwy, dawała im słyszeć, iż walka jeszcze nie ukończona.

— Szczepanie, — mówił Rudolf, — ty albo ja musimy koniecznie połączyć się z naszymi;... znasz złośliwość ludzkich języków, mogą powie-

dzieć, żeśmy niegodnie szeregi opuścili.

— Prawdać to... ale nie radziłbym paniczowi oddalać się od jegomości. Niechże kto napadnie, jam stary i ranny, obrony nie dam... obadwaj, możemy przecież ocalić starostę, a jeżeli nie, to przynajmniej razem dostaniemy się do niewoli.

— I ty, stary, bez zgrozy wspomni nasz niewolę; nie maszli w tobie serca i naszej litewskiej dumy?... nie lepiej umrzeć, jak po Skandynawji skałach ohydne znosić jarzmo? Bierz przykład z Rosjan, oni pod Narwą nie chcieli nawet słyszeć o łasce darowania życia.

— O! mój panie! jakżeś mi do duszy przemówił, jakież to ogień ożywił moje piersi. Tak, lepiej umrzeć, aniżeli z sromotą być brańcem Szweda,

i umrę, broniąc do ostatniego tchu poczciwego mego pana.

— Dobrze, ja pójdę, mój koń nie poniosł najmniejszego szwanku. Nabij muszkiety i pistolety; będziesz miał sześć strzałów, a spodziewam się, że przecież na próżno ich nie wydasz.

— To się ma rozumieć. Już z dziesięć lat upłynęło, jak mi się fatalny zdarzył wypadek. W dzień imienia nieboszczki starościny, strzelaliśmy do celu; ja stanąłem na mecie, wymierzyłem, byłbym niezawodnie trafił i dukata chapnął, ale Karusia, podwinęła się, potrafiła mi kijem muszkiet— i chybiłem; wszyscy się śmiali,— oj! głowa jakoś boli.

— Nie długo wrócę, może znajdę naszych kozaków, niepodobna pozostawać tu z starostą.

Rudolf wyprowadził konia, lekko go dosiadł, i wolno pojechał, a tymczasem stary sługa, czem mógł zapierał drzwi, a potem przez małe ścienne otwory, oknami zwane, wyglądał niekiedy, azali nie zobaczy wracającego Czekanowskiego.

Ogień w piecu przygaś, Szczepan zasunął drewnianą okieniczką okno, i przekonawszy się, że starosta usnął, położył się na piecu, pospolicie w Litwie przez wieśniaków za łóżę używanym.

— Przynajmniej ciepło; o, nie wiem, gdzie już brało się tyle szarańczy. Biedny mój pan, machał lepiej jak pod Wiedniem, a pomimo to, także raniony; byle tylko ta rana nie była śmiertelną, bohy i nie było po co wracać pod Troki... zmarzłem, głodnym, i nie wiem co robić, ale przecież rozgrzewam się.

Tak sobie dumal przewracający się na piecu Szczepan, my tymczasem przeniesmy się na pobojuwisko przez obie strony już opuszczone, na którem ciała tylko zmarłych pozostały.

— A, dogodził mi sz. . . . , niech go piorun trzaśnie, jeżeli mu łba nasi nie roztrzaskali... a to dalibóg dotąd mi szumi w głowie,— mówił podnoszący się z ziemi człowiek,— już nikogo nie ma... gdzie ja teraz pójdę!... Wszystko mi się zdaje, że to był znajomy. . . . o! ktoś jedzie... człowiek czy djabeł, Szwed czy nasz brat, musi kupić wódki, bo inaczej zwaruję. Dopókim walił, dopóty mi było ciepło, ale jak mnie uderzono, to za gorąco się zrobiło;... pójdę, przecież mam broń,— i podniósł długą flintę, zmierzając ku jadącemu.

— Kto jedzie?

— Nie wiem bracia hasła, alem Troczanin, — odrzekł zagadniony.

— Weale nie dbam o hasło, to wy możecie go używać, ale ja, co tylko na urywkę poluję na Szwedów, nie rozstawiam wart, tylko gdzie mogę podejść, podchodzę; gdzie nie, podlażę na brzuchu; dobiegam, jak wypadnie, a zawsze, i dnia jeszcze nie było, żebym jakiego lutra na sąd pański nie posłał. Masz ty bracie wódkę?

— Nie mam,... powiedz mi przy kim zwycięstwo?

— Prawdę mówiąc, nie wiem, dopiero mi przytomność wróciła. Licho nas wplątało dzisiaj w tę bijatykę,... wysunęliśmy się z lasu na przełajkę, aż tu i ztąd i z owąd wojsk pełno, i my niechący musieliśmy dzień cały być w ogniu. Bóg wie, gdzie się nasz dzielny Buczys obraca.

— Buczys?! to ty pod Buczysem zostajesz?

— I masz się czego dziwić; cóż, albowiem nie zuch; jeżeliś rzeczywiście Troczanin, toś pewno słyszał o Kirliku. O! pewnobyś nawet mnie nie żałował, widząc dyndającego na szubienicy; a zacyby mnie powiesili? żem kilku żydów zabił, i szlacheicowi łytki rozciął, czyliż ja winien, iż go mrówki zajadły... ukradłem wprawdzie kur kilka, gęsi i kaczek, i dwóch baranów, a kartosli co nie miara, ale jeść mi się chciało, to kradłem, a kradłem u takich, co nic nie robili a mieli wszystkiego podostalkiem.

— Twoja historia wcale mnie nie obchodzi; słyszałem wprawdzie wiele złego o Kirliku, ale ludzie poprawiają się.

— O tak, jak mi tylko Buczys zagroził, że w łeb wypali, jeżeli odłaczę

się od bandy, lub zabiję kogo, zarzu-
ciłem to rzemiosło, i czuję teraz, że
poprzednio źle robił, chociaż lubię
krew, bardzo lubię. Przeszło cztery
miesiące niewidziałem jej z bliska,
dzisiaj dopiero czem mogłem to bi-
łem, kółbą, pół-kurciem i palaszem,...
ale i mnie uderzono, padłem, a kiedy
powstałem, była noc — a w odległo-
ści ty jechałeś.

— Może lepiej znasz miejscowość,
trzebaby kupić żywności.

— Do Grodna nie pójdę, nie wiem
kto w mieście siedzi.

Karczma, wioska.

— Wszystko to spustoszone. My
tu kręciliśmy się od dwóch tygodni,
bo miał przejeżdżać tędy, trocki woje-
woda, Darwerd, musiałeś o nim sły-
szuć, on to świadczył przeciwko po-
czciwemu chłopcowi w Trokach...
jakże mu tam... Rafał, czy Ryfol....

pamiętam dobrze, jak go z palącego się więzienia wyniosłem, ale nie. . .

Kirlik nie dokończył, bo Czekanowski lotem błyskawicy skoczył z konia i całował dawniejszego bandytę.

— A to za co... coś ty zwarzował?

— Nie, ja to jestem ów twój Rudolf.

— A tak, tak, . . . przypominam, Rudolf; no to dobrze, ale po cóż całować, istotnie myślałem, żeś zwarzował.

— Siadaj bracie na konia, pomieścimy się obadwaj.

— Dziękuję, nie cierpię jeździć. Zresztą, słyszałem że ktoś wiele chodzi, nie choruje, otoż dla zabezpieczenia się od słabości, nigdy z własnej ochoty nie jeżdżę; ale powiedz mi, gdzie mnie prowadzisz.

— Do starosty Wilczyńskiego.

— A, do tego dobrego dla kmiotków

pana, którego Darwerd napadł, a za co nasz Buczys koniecznie chce go złapać; o! jakaż szkoda, że nie wiem gdzie się Buczys zadział, bardzoby się cieszył. Bo nie wiem dla czego, ale bardzo kocha starostę.

— To teraz nie wiesz gdzie Buczys.

— He! byłbym go nie odstąpił ani na krok, ale zapaliłem się, wpadłem pomiędzy nieprzyjaciół, zoczyłem jednego najbardziej naszych gromiącego, zastąpiłem mu drogę, i strętowały mi ręce. Zupelnie podobny do tego hultaja Darwerda, nie mogłem zebrać myśli, a on musiał je trzymać w garści, bowiem tak silnie przemierzył drzewcem głowę moją, że do tej chwili warczy w niej jakiś kołowrotek.

— Jak to, widziałeś Darwerda?

— A przynajmniej doń jak dwie krople podobnego.

— I straciłeś przytomność?

— Tak.

— Zkądżeś go znalazł?

— O! ja w powiecie prawie każdego znam szlacheica; bywałem w kościołach, na odpustach, jarmarkach, targach, — weiskalem się na sejmiki, przebrany zazwyczaj za służalca, wypytywałem się służących i chłopów jakiego mają pana, a jeżeli zły, nie moja w tem wina, że Buczys kazał mu czasem trzysta pletni wyliczyć, — a takich pletni, iż nieborak trzeźwiuteńki pojechał do domu, bo trzeba wiedzieć, żeśmy najczęściej pijanych takich ichmościów łapali.

Zbliżali się do chaty, z której głośne krzyki wychodziły. Rudolf śpiął konia ostrogami, i w chwili jednej był przy drzwiach. Kirlik pośpieszał za nim.

Rudolf wszedł do sionki, a z szczu-

plej, bocznej, wieśniaczej komnaty, usłyszał pokorne prośby Szczepana, blagającego o życie dla starosty.

— Nie, powiesić go, nie chciał mnie uznać wojewodą. Szczęśliwie popadł w moje ręce. Bogu muszę dziękować, że podjąłem się wyjechać na zwiady.

— Podziękuj, — zawołał wpadający z dobytym palaszem Rudolf, — giń, zdrajco!

Przy Darwerdzie było jeszcze trzech innych, Czekanowski zatem miałby zbyt wiele do roboty, gdyby szczupłość izbedki, dozwoliła im wszystkim nacierać na przyjaciela starosty, który stanąwszy w kącie, pomiędzy dwoma ścianami, dzielnie odpierał napady przeciwników, spodziewając się, że przybycie Kirlika postać rzeczy zmieni, i z odpierającego nacierającym go uczyni.

Rzeczywiście, skoro tylko przybył ostatni, i przy odblasku gasnącej łuczywy, którą napastnicy zapalili byli, rozróżnił, stojąc w głębi sieni, walczących, dał ognia, a jeden z przeciwników Rudolfa, bez jęku padł kulą przeszły na ziemię. Gdy wypadek ten zmieszał Darwerda i jego towarzyszy, Kirlik wpadł do chaty i zręcznym ciosem drugiego pozbawił życia. Wówczas równa rozpoczęła się walka. Rudolf przyparł jednego z pozostałych do ściany, Kirlik zaś uderzeniem kolby w rękę Darwerda, wytrącił mu z ręki broń, rzucił się nań, i chwyciwszy za gardło, tak silnie ścisnął, że urojony wojewoda zsiniał, stracił przytomność i upadł. Ostatni spostrzegłszy to, rzucił pod nogi Rudolfa miecz, prosząc o darowanie życia.

Postronki, jakich Darwerd użył na związanie rannego starosty i Szeze-

pana, obrócone zostały do tejże posługi dla wziętych jeńców. Darwerd, przyszedłszy do przytomności, zgrzytał zębami, i klął po swojemu, ale Kirlik nie zważał na to i ciągle mu śpiewał piosnkę o leśnej gałęzi.

Starosta najmocniej sprzeciwiał się samowolnemu ukaraniu zbrodniarza, wszelako rano, przebudziwszy się, już nie ujrzał żyjącego Darwerda. Gdy wszyscy usnęli, Kirlik zatkał mu usta, wywłókł z chaty, i powiesił.

Starosta gniewał się i byłby może ukarał Kirlika, ale i sił mu nie dostało i pamiętał, że jemu był winien ocalenie nocy upłynionej życia. Poprzestał zatem tylko na naganie, kazał pozostałego jeńca uwolnić, a sam, pomieszczonym będąc na sanie, które pod strychem znaleziono, i jak można było najdogodniej urządzono, skiero-

wał drogę na północ, zamierzając powrócić do domu.

Gdy odjechali od chaty kilkadziesiąt kroków, Kirlik obejrzał się, roześmiał i zawołał:

— Wojewoda grzeje zęby na styczniowem słońcu, wyszczerzył co się zowie,... no, już przecie nie będzie palić, nie będzie dziewcząt chwylać.

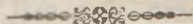
— Jak to, to ty go znasz?

— Zna dobrze, — odpowiedział Rudolf, opowiadając poszczegółowo rozmowę, jaką miał z Kirlikiem, zastawszy go na opuszczonem pobojuwisku.

Wypadki ubiegłej nocy, rana, a może najwięcej śmierć traiczna Darwerda, który lubo zawziętym był nieprzyjacielem starosty, zawsze byłby zyskał przebaczenie jego, sprawiły, że Karol Wilczyński nie mógł odbywać podróży i w Lidzie zatrzymać się musiał.

Kirlik podjął się zanieść list do córek, a Szczepan i Rudolf pozostali z starostą.

W dwa dni po odejściu Kirlika, wojsko szwedzkie zajęło Lidę.



Karolina z siostrami, stojąc się do woli ojca, a bardiżej do potrzeb wianych, zaraz po odejściu ostatniego, udala się do Trok. W jej ręku znajdowało się teraz całe mienie ojca i mogła niemi rozprząść dowolnie. Pierwszą jej rzeczą było wypisać się u karczmarza, gdzie tymczasowo mieszkanie zajęła, o Tatarze Sulimanie. Tudek Kaska opowiadał jej do kładnie o stosunkach tej rodziny, a

VII.

ZNAJOMOŚĆ.

Karolina z siostrami, stosując się do woli ojca, a bardziej do potrzeb własnych, zaraz po odjeździe ostatniego, udała się do Trok. W jej ręku znajdowało się teraz całe mienie ojca i mogła niem rozrządzać dowolnie.

Pierwszą jej rzeczą było wypytać się u karczmarza, gdzie tymczasowe mieszkanie zajęła, o Tatarze Sulejmanie. Judka Kaftal opowiedział jej dokładnie o stosunkach téj rodziny, a

nawet pokazał przechodzące około okien siostry, nie mogąc atoli z pewnością wskazać, która była oblubienicą Czekanowskiego; tego bowiem ostatniego, liczył już pomiędzy zmarłymi. Domniemanie to żyda, było bardzo na rękę Karolinie, postanowiła ona przeto ogłosić śmierć Rudolfa za pewną, i w tym celu przedsięwzięła użyć takich środków, którymby każdy zawierzył.

Mieszkanie wynajęte zostało w tym samym właśnie domu, gdzie niegdyś Zabohoski z swoimi rodzicami, w czasie święta 15 sierpnia, przemieszkował; okna jego, jak wiemy, wychodziły na tatarskie podwórze. Leżące naprzeciwko, przez służbę zajęte zostało.

Widzicie więc, że Karolina jednym rzutem zbliżyła się do Tatarek, i jedną

pogłoską miała nadzieję obalić ich ideały.

Upłynęło kilka tygodni. Lud śpieszył na pasterkę. Karolina także wybrała się z siostrami. Czyli rzeczywiście dla nabożeństwa, czyli też dla innych przyczyn, nie starałem się odkryć, bo, możeby tu nie jedna kobieta obraziła się i za powiedzianą prawdą rozgniewała, a powiem wam otwarcie, że te wszystkie, któreby miały powód do tego, to jest, te wszystkie które do kościoła nie dla nabożeństwa idą, zazwyczaj mają jadowite, żalące trucizną gadziny, jęczyczki, otóż nie posiadając podobnego do odporu, ani też potrzebnych do szybkiego nim władania zdolności,—na żaden sposób nie mogę wchodzić z niemi w zapasy.

Karolina oglądała się na wszystkie strony, i zdziwiona w jeden punkt u-

tkwila swe spojrzenie. W kruchcie, przy stojącym tam wówczas konfesjonale, ujrzała dwie młode dziewczyny, znane dobrze z widzenia, bo sąsiadki, jednym słowem: Missallę i Ayeszę. Za niemi klęczał Szafranowicz, miejsce ojca im zastępujący, bo Gabriel Sulejman, jak zapewne domyślacie się, lubo już posiwiał, wziął się raz jeszcze do korda, aby walczyć za sprawę przybranęj ojcami swemi za matkę dziedziny.

Otóż Karolina, zapomniała zupełnie o mszy pasterskiej, o wesołej piosnce Narodzenie Chrystusa opiewającej, zapomniała o siostrach, nawet o młodym człowieku, który wsparty o ławkę, ciągle na nią wzrok zwracał,—ona patrzała, przecierała oczy, byłaby szkła użyła, gdyby je miała, dla przekonania się bliższego, czyli ją nie mylą oczy, czyli ona w katolicko-

rzymskim kościele widzi Mahometa córy.

Nakoniec, sama sobie niedowierząc, wyszła z ławki, wmieszała się pomiędzy tłum, przecisnęła aż do kruchty i stanęła obok dziewczę.

— Nie omyliłam się, to one.... ale jak gorąco się modlą..... mogłoby to być, aby katoliczkami były. O! dobre odkrycie.... muszę przyśpieszać swoje zamiary; przedmiot zupełnie nowy i dla mnie niespodziany.

Karolina powróciła do ławki, a przechodząc około wspartego o ławkę młodzieńca, myślała: Dobry byłby na męża, bo niepospolicie ograniczony, a do tego kilka wypadków, umiarkowało awanturniczy jego charakter, o, gdyby mnie się dostał, umiałabym przewodzić.

Nie długo msza się skończyła i powrócono do domu. Karolina wszel-

kiemi środkami starała się zabrać bliższą znajomość z córkami Sulejmana, jednakże to nie udało się jej aż do czasu przybycia Kirlika, na początku lutego następnego. List odebrany, o którym zaraz wszyscy w Trokach wiedzieli, ułatwił Karolinie wejście do domu Tatara.

Karolina, po odczytaniu listu, opowiedziała siostrze o stanie ojca, ale dodała także, że Rudolf poległ. Dla większego urzeczywistnienia pogłoski, kazała przywołać Kirlika.

— Słuchaj przyjacielu, możesz pozostać przy nas.

— Dziękuję pani, muszę wracać do mojego dowódcy.

— Pozostań, pozostań, mój ojciec zapewne nie długo powróci, ... będzie o ciebie się troskał.

— O! starosta dobry człowiek, i być może, iż przykrem mu będzie moje

odmówienie,... lecz nie mogę,... a jeżeli mówię, że nie mogę — to słowo moje jest tak twarde, jak żelazo, i nie go zmienić nie może. Bywaj zdrowa panienko, — jeżeli łaska napiłbym się wódki, gdyż droga daleka i zimno dokucza.

Karolina rozkazała uczęstować Kirlika, a gdy on opuścił Troki, zakupiła kilka mszy za duszę Rudolfa. Wkrótce całe miasto o smutnej tej nowinie wiedziało, i każdy szedł do kościoła pomodlić się za zgasłego zawczasie młodzieńca.

I Karolina udała się także do świątyni, spodziewając się zastać tam córki Sulejmana; jakoż nie zawiodła się w swoim wyrachowaniu. Misalla i Ayesza znowu się w ciemnym zakątku kruchty znajdowały. Karolina zbliżyła się do nich, a przepraszając za swoją śmiałość, dodała, iż słyszała o związkach przyjaźni jaka łączyła

ich ojca z poległym w obronie jej rodzica młodzieńcem, któremu nic prócz łez i pamięci, w dowód niewygasłej wdzięczności, poświęcić nie można.

— Tak, pani, był to najszczerzy nasz przyjaciel, — odpowiedziała Missalla, — i teraz, oprócz starego Czekanowskiego, nie mamy nikogo.

— Jeśli dom nasz w części przynajmniej może zastąpić stratę, jaką wspólnie ponieśliśmy, uznamy się za szczęśliwych, razem płacząc i razem żywiąc się wspomnieniami młodzieńca, który tak mocno nas wszystkich kochał.

Missalla nie odpowiedziała, bo właśnie kapłan zbliżył się do ołtarza dla odprawienia świętej, niekrwawej ofiary.

Starościanka przekonała się bardziej jeszcze o przychylności, jaką Rudolf zjednać sobie potrafił. Najwiśdoczniejszym były tego dowodem lzy,

towarzyszące smutnemu kapłańskiemu śpiewowi za zmarłych: *Requiescat in pace.*

Po południu Karolina po raz pierwszy odwiedziła tatarski domek, i swoją rozmową zdołała zupełnie uwikłać w zastawione sidła obie siostry. Wkrótce uważały one starościankę za niebiańską istotę, której wszystkie tajemnice można powierzyć.

Spodziewając się z dniem każdym powrotu ojca, Karolina starała się najmocniej wyrugować z pamięci dziewicę kochankę. Nie wiedziała ona jeszcze, która z nich pozyskała serce Rudolfa, ale przeczuwała, że jeżeli Rudolf w Wielkopolsce pozyskał starosty zaufanie, z wyprawy wojennej powróci z miłością jego i osiągnie wpływ nieograniczony. W takim razie usunąć go byłoby wprawdzie łatwo, łącząc z wybranym przedmiotem, lecz

nie byłoby to dostatecznem, do zupełnego przerwania związków, a tem samem, pozbycia się radzcy, którego zdania nie bardzo schlebiali widokom Karoliny. Oprócz tego, Rudolf pojawiający inną kobietę za małżonkę, nie dałby sobą kierować, i owszem więcej przeszkód aniżeli korzyści obiecywać mógłby. Zastraszało to ją bardzo, i jakkolwiek nie kochała Rudolfa prawdziwie, pragnęła jednak zostać jego żoną; — interes brał górę nad jej sercem, które było już zajętem, a które przywiązywało się o tyle, o ile okoliczności próżności tej kobiety schlebiali.

Karolina wmawiała w siebie, że kocha Rudolfa, ale nie uczyniłaby dla niego nie tylko żadnego poświęcenia, lecz nawet nie byłaby może wierną żoną. Starania jego w uregulowaniu dóbr Elżbiety, troskliwość, iżby grosz

jeden zmarnowanym nie został, bezinteresowność, a nakoniec ocalenie ojca z narażeniem życia własnego, wszystko to dało jej poznać Rudolfa z zaszczytnej strony; — przy pierwszych czynnościach odkrył on wysokie zdolności, bystrość a przytem dobroć i łagodność serca, przy ostatnim wypadku mężstwo, odwagę i energję. Jednem słowem poznała ona dokładnie Rudolfa, i wiedziała, że jeżeli nie pokona go wabnością, i nie zawrze z nim związków, z czasem stanie on naprzeciwko niej, niweczając i burząc ułożony w jej głowie babel, mający uczynić ją jedynowładną panią ojcowskich dóbr.

Dla tego to nie chciała ona, aby Rudolf przez ożenienie się z jedną z Tatarów, nie wymknął się z pod jej władzy; pewną była bowiem, iż jeżeli w serce jego potrafi rzucić isierkę przy-

wiązania ku sobie, a przybranym słodkim charakterem zamienić ją w miłość, miłość w takim człowieku przetrwa życie, — a nawet podda całe jego jestestwo pod bezwarunkowe rozrządzenie istoty, która takową pozyska. Przeciwnie wnioskowala, w przypadku ożenienia się z Tatarką, rozłączenie nastąpiłoby wprawdzie, ale tylko dwumilowe. Starosta łatwo widywałby się z Rudolfem, który bezwzględnie objawiałby swoje myśli, niczem ani ujarzmione, ani skrzywione być nie mogące. Gdyby Czekanowski chciał być pieniądze, o! Karolina oddałaby się z całym wylaniem namiętności swej upatrzonemu głupcowi, — a Rudolfa usługi złotem okupiłaby!

Miała ona na uwadze dwie ostateczności: albo wyrzec się myśli osiągnięcia całego majątku, a ztąd i nie potrzebować Rudolfa, — albo też ogra-

niczyć się na równym z siostrami podziale, i wybrać za małżonka człowieka, który bez zdania, myśli i zdrowego o rzeczy pojęcia, byłby tylko pod względem cielesnym mężem — pod duchowym, bydlątkiem; gotowem zawsze nieść na swoim grzbiecie kaprysy, złośliwość, chciwość, wszeteczeństwo, zbrodnie i t. p. czyny, godnej swej połowicy.

Innym sposobem nie chciała Karolina pozbywać się Czekanowskiego, jeszcze w sercu jej była odraza do zbrodni, jeszcze cenila wyżej życie człowieka nad pieniądze.

Sulejman powrócił. On również nie miał żadnej wątpliwości o skonie Rudolfa, a nawet nie bardzo wierzył, aby starosta z morderczej walki całym wyszedł. Karolina pośpieszyła do swoich przyjaciółek. Życzyła ona sobie zapoznać się z starym, i mniemała, że

zręcznie wtrącanemi w rozmowę słowami, przekona go o potrzebie wydania jak najspieszniej za mąż córek.

U Tatara zastała Szafranowicza i kilku innych ułanów.

— O to, panienka najlepiej nam rozpowie, — zawolał Szafranowicz, witając wchodzącą starościankę, — raczyła nas wszystkich pocieszać, Boże jej zapłać.

Missala i Ayesza przedstawiły ojcu starościankę, który, nad podziw ostatniej, przyjął ją z uprzejmością, lecz bez żadnej dworszczyzny.

— Moja Karusiu, — rzekła Missalla, — przeczytaj nam list starosty; nasz ojciec niegdyś zaszczycał się jego przyjaźnią, i rad będzie dowiedzieć się smutnego opisu śmierci kochanego naszego Rudolfa.

Ayesza zapłonila się i lza stoczyła się po pobladłych jej licach.

— Mój ojciec wcale w liście swoim nie pisze o śmierci Rudolfa, ale ten człowiek, który pismo to przyniósł, był obecnym chwalebniemu jego skonowi. Tak powiadał na osobnej ze mną rozmowie: odniósł więcej niżli ośm ran.

— Biedny, — wręcił Gabrijel.

— A jeszcze walczył, ... posłaniec listowy, widząc nieuchronną śmierć jego, chciał go ratować, pobiegł i wystrzałem zgładził jednego z nacierających na Rudolfa, ale w tejże chwili, nasz nieodżałowany Czekanowski śmiertelnym grotem przeszyty, wyzionął bohaterskiego swego ducha.

Trzeba wiedzieć, że Karolina dla tego właśnie Kirlika wezwała na samotną rozmowę, aby później mogła na karb' jego kłamać; — a byłaby nigdy tego ostatniego do pozostania przy dworze nie nakłaniała, gdyby nie miała sobie doniesionem o zamia-

rze nieodzownego jego powrotu do oddziału, do którego należał.

Pierwsze te próby obrotności młodej dziewczyny, w zupełności jej się udały. Przekonałiśmy się, że wszyscy uwierzyli fałszywej wieści, a częste upominki z ambony za duszę poległego, coraz bardziej pogłosce tej piętno prawdy nadawały.

Ale i Karolina doznawała niespokojności. Jeden tylko list odebrała, a w nim wiadomość o ciężkiej ojca ranie; upłynęło już kilkanaście tygodni, pola barwiły się zielonością, skowronek witał powrót wiosny, a starosty nie było widać. Przemarsze Szwedów coraz częstszemi się stawały, a obywatele dzieląc się na stronnictwa, wicherzyli spokojność domową, i własne szczęście gwałtem w mogiłę zakopywali.

W Karolinie obudziły się uczucia córki, a umilkły na chwilę niecne żą-

dze. Smutek osiadł na twarzy, szła do kościoła już nie dla samego przypatrywania się młokosowi; modliła się, a sama myśl, że może już nigdy nie zobaczy ojca, napędliała ją trwogą i przerażeniem.

Z kolei pocieszały ją Tatarki, — lubo same także smutkiem dotknięte były, z powodu zapadnięcia Sulejmana w chorobę. Karolina odkrywała w nich najszlachetniejsze zasady, a dzielając je ustnie, starała się koniecznie dowiedzieć, która z nich Rudolfa kocha.

— Dobry był chłopak, mój Boże, byłby pewno ojciec mój wrócił, gdyby on nie poległ.

— Ach! rzeczywiście był to bardzo dobry człowiek, całe miasto go kochało, — odrzekła Ayesza, z którą Karolina na przechadzkę na pobrzeże jeziora wyszła.

— Jak to, całe miasto, a więc i wy?

— Wiem, że moja siostra uważała Rudolfa za brata, ale ja, Karolino, ja go kochałam..... nad życie go kochałam; a jednak musiałam go przeżyć, i nie mogę pójść zapłakać na jego grobie, bo nieba własnego grobu nawet mu odmówiły.

— Uspokój się Ayeszo, żal twój podzielałam, ale powiedz mi, jakie z niego osiągniesz skutki—o to żadnych; wypada rządzić się rozumem, i nie omijać przeznaczenia naszego, dla tego, że Bóg ciosem nas dotknął.

— Nie rozumiem mowy twojej, Karolino.

— Winnam się przeto dokładniej wytłomaczyć. Nie ganię uczuć miłości, z samej skłonności wynikającej; ale, powiedz mi, czyliż wypada aż za grób tę miłość przeciągać. Nie, mnie się zdaje, że z końcem życia jednej

z kochających się istot, nie dla niej prócz wspomnienia pozostać nie winno. Ona bowiem na zawsze odłączyła się z naszego społeczeństwa, a któż potrafi stawić dostateczną rękojmią, że, poznawszy blańność ziemskich rzeczy, nie wyrzekła się wszystkiego. Bo, jeźliby miłości swęj chciała dać nam dowody, to wiedz o tem, że mamy wolną wolę, a czyliżby w takim razie nie objawiła się nam, nie powiedziałaaby, że nas kocha, że nas czeka z utęsknieniem. Tam inne, piękniejsze od nas, piękniejsze od wszystkich naszej ziemi kobiet. . . .

— Być może, kochana Karolina, — przerwała Ayesza, — że twoje uwagi uzasadnione są na wszechstronnych wiadomościach i głębokim rozumie, jakim cię opatrność obdarzyć raczyła, ale ja, biednego trockiego Tatara córka, co nie więcej nad biblją i żywot

Chrystusa nie czytałam, nie pojmuję słów twoich, przebacz mi,... mojej ograniczonosci przecież winną nie jestem!

— Potrzeba się kształcić;... ale ażebyś myśl moją zrozumieć mogła, powiem ci, jak to mówią, po chłopsku: skwaśić się nie możesz, jesteś młoda i ładna dziewczyna, męża dostać możesz, nie trzeba przebierać, to nawet grzech, wspominałaś, że czytałaś żywot Zbawiciela, musisz przecie pamiętać słowa, jakie wyrzekł pod figowem drzewem?

Rozmowa taka nie bardzo podobała się Ayeszy, jeszcze ona niezapomniała Rudolfa, jeszcze go kochała. Wszelkie przekonywające rozprawy Karoliny rozbily się o stałą duszę dziewicy, a Wilczyńska przekonała się, że usiłowania jej na ten raz bezskutecznemi pozostały. Przerwała zatem loczącą się rozmowę, zwróciwszy ją na

inny przedmiot, zostawiając możność odnowienia łakowej w innym czasie.

W kilka dni później, na żądanie Karoliny, ojciec dozwolił Missalli udać się z pierwszą do dóbr ojca. To nastęczyło sposobność do rozpraw w podobnymże przedmiocie. Jakże się dziwiła Karolina, gdy Missalla oświadczyła, że kochała także Rudolfa, i że śmierci jego nigdy nie zapomni, ostatek życia w klasztorzem przepędzając ustroniu.

Wilczyńska zamilkła.— O!— myślała sobie,— obydwie w nim się kochają, szczęśliwy człowiek,... z tą jeszcze nie wielka bieda, zamierza wstąpić do klasztoru, ale tamta, tamta z trupem nawet gotowa ślubne zamienić pierścienie. Zbytuo wygórowana i zapalona wyobraźnia... Nie wiem co tu z niemi zrobić, ale, nie czekajmy,... naprzód.....

— I kiedyż piękna zakonnico, myślisz nas opuścić? istotnie, jest to okrutnie, osierocać przyjaciółkę i pozostawiać ją bez pociechy.... i do któregoż klasztoru?

— Do Wizytek... wszelako nie mam jeszcze pozwolenia ojca, a bez niego nie stanowczego nie uczynię. Są to tylko moje chęci, ale chęci te stosuję zawsze do woli szanownego starca, który nas oświecił, krzyż Chrystusa kochać nauczył, i wskazał, że nie same dla siebie żyć winnyśmy.

Wyrazy Missalli, bynajmniej nie skierowane do Karoliny, dotknęły ją jednakże boleśnie; zemsta zawrzała w jednej chwili, i Wilczyńska rzekła:

— Jednak zadziwia mnie, dla czego przy jednych usposobieniach, jakimi was ojciec natchnął, Ayesza podobnież nie myśli o klasztorze?

— Bo ona nie kochała.

— Mylisz się, kochała i kocha, a nawet miłość jej skierowaną jest do tegoż przedmiotu... do cienia Rudolfa.

— Wielki Boże! a więc obydwie jesteśmy nieszczęśliwe, i nigdy, chociażby nawet żył Rudolf, nie mogłybyśmy kosztować spokoju. Bo w takim razie ja wyrzekłabym się jego dla siostry, a wiem także, że Ayesza ofiary podobnej nie przyjęłaby; o! Karolino, jakże wielki Bóg, jak łaskawy.... ale co mówię... może żadnej z nas nie kochał... ah!... dla nas nie ma żadnej nadziei!

— Ale wy jesteście za nadto żywej imaginacji, a nawet podobnemi mowami ubliżacie woli najwyższej Istności. Czyliż można dla jednego człowieka, już nieżyjącego, który was nigdy nie kochał, opuszczać świat? Mniemacież, że Rudolf jeden tylko mógł być szlachetnym; o! jakże się

mylicie! Wasze postępowanie, zamiary i rozpaczliwa dążność, jawnie okazują, że się sprzeciwiacie wyrokowi opatrności, że depreczecie jej postanowienia. Rudolf mógł stać się kością niezgody pomiędzy rodziną; Bóg kazał mu umrzeć, ale nie dla tego, abyście się w klasztornych murach zakopały. Wypląćcie naturze dług, jaki zaciągnęłyście u niej przy swem urodzeniu, a przyjaciółka wasza, a kochająca was Karolina, z chlubą przyciskając do łona życzliwego dwie siostry, życia całego poświęceniem, o szczęście wasze starać się nie przestanie.

— Być może, że słuszne czynisz mnie uwagi, ale postanowienia mego nic nie zdoła zmienić.

— Upor jest zawsze nagannym i szkodliwym; a w tym przypadku nawet nieco śmiesznym. Nie rodzie-

my się przecież z przeznaczeniem jedno dla drugiego, bo mielibyśmy małżeństwa Polki z Hottentotem, Laponki z Indianinem. Mogą one nastąpić, lecz poprzedza je zwykle znajomość, stosunki przyjaźni, szacunek! Powiedz-że mnie, czylibyś nie znając wcale Rudolfa, myślała teraz o klasztorze? czyliby inny młodzieniec, urodny i przyniętami szlachetnemi zdobny, nie zajął twojej wyobraźni? I teraz to może nastąpić, ale potrzeba wyrzec się niedorzecznych zamiarów, a rządzić się zdrowym rozsądkiem.

— O! Karolino, nie kochałaś, dla tego możesz w podobny sposób przemawiać. Gdyby jedna istota, czuła, dobra i poświęcająca się, owładnęła twojem sercem, nie mogłabyś z tak zimną krwią wygłaszać zdań swoich. Dzisiaj jeszcze tobie wszystko jedno,

ten lub ów, drugi lub trzeci, każdy jest tylko dla ciebie człowiekiem, z którym cię ogniwo duszy nie spoiło! Ale, poznasz w swoim czasie, że twierdzenia twoje, jeźliby pod względem uczuciowym przyjęte być mogły za pewne prawidło, nie więcej nad zepsucie obyczajów nie pociągnęłoby za sobą. Nie ma i nie będzie nigdy owój szlachetnej, wzniosłej i boskiej miłości w sercu, które ugania się za ziemskim tylko związkiem, — które przyjmuje z równem usposobieniem pojawiające się przed oczyma istoty! Nie myślę, boby niezgadzało się to z przekonaniem mojem, widoki własne, przyszłość, którą powszechnie *karjerą* zowią, gruntować na znaczeniu lub bogactwach, lub dla nich przedawać się; fałszywą przysięgą, czy stałą i nieobludną, stałą i bezinteresowną wygładzając miłość.

— Filozofujesz.

— Nie. Osnowę zdań moich wyczerpałam z biblij, a moc charakteru z żywota Zbawcy.

— Wszystko bardzo dobrze; ale do czegoż nas to doprowadzi? *potrzeba stosować się do czasu i okoliczności.*

— Karolino, dla czego usiłujesz wmówić we mnie to, czego sama nie podzielasz; samolub tylko może według dzisiejszej twojej przemowy postępować, dla niego byłaby to bardzo zbawienna nauka; lecz, przyznaj starościanko, że katolicy nie powinni podobnie myśleć, a czyliż chcemy, aby potomstwo nasze imie nam tylko przyznało, szczytnego charakteru pozbawiając? — Nie, twoje serce, Wilczyńsko, nie wyrzekło błędnych tych sofizmatów, bo dałaś mi je poznać; ty umiesz kochać i czuć, ty jesteś do-

brą, i w rzeczy nie mogłabyś rad po-
tępienia udzielać.

Starościanka spostrzegła się; a
chwytając sposobność, jaką jej nastre-
czały wyrazy Missalli, oświadczyła,
że nie było jej zamiarem przytłumiać
uczuć miłości, lecz tylko przestra-
szona będąc mającem nastąpić ich
rozłączeniem, nie wahała się użyć
wszelkich środków dla zapobieżenia
temu, w końcu dodała:

— Przebacz mi, tylko moc ścisłej
i szczerzej przyjaźni, zapewnić sobie
chcącój widok ulubionej osoby, mo-
gła mnie skłonić i wylać przez usta
wyrazy, znaczenia których dusza mo-
ja nigdy nie podzielała.

— O! wiedziałam o tem, Karoli-
no; ty inną być nie możesz, a da-
łaś już tyle dowodów dobroci swojej,
że nie mogę przypuścić, iżby cień na-
wet przewrotności kaził twój umysł.

— Bąc pewną znajdziesz mnie zawsze godną twojej przyjaźni, — odpowiedziała Karolina, wysiadając z bryczki i podając Missalli rękę.

Bartłomiej wybiegł na ganek, witając córkę swego pana, i donosząc o pomyślnym stanie ziemskiej majątności.

Karolina ująwszy pod rękę swoją towarzyszkę, oprowadzała ją po całym dworze, rozmawiając wyłącznie tylko o gospodarstwie.

Nad wieczorem powróciły do Trok. Missalla nie zwykła zwlekać wykonania raz przedsięwziętego zamiaru, prosiła ojca o pozwolenie wstąpienia do klasztoru. Sulejman powstrzymał dziewicze jej żądanie, lecz nie opierał się. Dwa lata miała jeszcze Missalla w domu ojca przepędzić.

W 1707 rok białą sukienką się odział a starosta nie powrócił! żadnej

wiadomości o sobie nie dał. Sulejman co dzień słabszy, już nie wstawał z łóżka, a obie córki nieodstępnie przy nim się znajdowały. Nadchodziła chwila uroczysta, w której miał otwarcie ogłosić się zwolennikiem Chrystusa, i córki swe pozbawić wszelkiego wsparcia i opieki, jakiegoby doznawały, gdyby świącily Koran, od Tatarów. Ale ani ojciec ani jego córki nie obawiały się tego bynajmniej, i owszem ostatnie przysposabiały się do głośnego wyznania wiary.

Pewnego dnia, rano, gdy dopiero szara pomroka zastąpiła miejsce ciemnej nocy; kapłan, poprzedzony dzwonkiem i światłem, wstąpił w Gabrjela Sulejmana progi. Karolina, która to widziała, narzuciła na ramiona szal, a wzięwszy na siebie futro lisie, zbiegła z wschodów, i nie zważając na głęboki śnieg, udała się tamże.

Gromnica paliła się na stole, kapłan udzielał ostatniego błogosławieństwa, Szafranowicz wspierał rękoma głowę umierającego, a córki jego kłęwały przy łóżku. Cichość uroczysta, taką jak to zawsze bywać zwykła przy konającym, czasem tylko tłumione łkanie dziewczę, lub ciężkie westchnienie przyjaciela, albo nakoniec słowo psalmu z ust sługi Bożego, dało się słyszeć;... znowu wszystko zamilkło... aby potem nagle przerwać tę ciszę, i napęłnić domostwo rozpaczą, i łzami bez nadziei.

Karolina zbliżyła się do łoża chorego. Sulejman powlókł słabym wzrokiem, z trudnością podniósł rękę, dobył z pod poduszki papier zapieczętowany, oddał Szafranowiczowi, a potem zbierając resztę sił swoich, pobłogosławił córki i przerywanym głosem powiedział:

— Dzieci moje!.. Starosta Karol.. Wilczyński, którego córka jest dla was przyjaciółką, jest waszym wujem... jego córki... waszemi siostrami,... kochajcie się;... zdobycz wiedeńska zostaje wam cała... do równego podziału... nie pragnijcie wiele,... a gdyby starosta nad wami rozciągnąć chciał opiekę, słuchajcie go jak... mnie,... on także....

Długi konwulsyjny jęk nastąpił. Missalla rzuciła się w objęcia Karoliny, płacząc i łamiąc ręce, ale Ayesza klęczała ciągle i ścisnęła rękę ojcowską, która błogosławiąc, po raz ostatni niewinnego dotknęła jej czoła. Z jej piersi nie wydarł się ani krzyk ani westchnienie lub narzekanie; oko nie zwilżyło się łzą, było suche, lśniące jak zawsze, ale nie wesołe; krople potu wystąpiły na skronie; zęby, usta i pięście zaciśnięte, świadczyły, że

w ciele tém prawdziwie mieszka męzka dusza, zdolna do odebrania razu, i pokrycia cierpień swoich.

Szafranowicz i kapłan znać musieli milczącą tę bolesć, bo usiłowali ciągle oderwać ręce córki od dłoni ojcowskiej, ale ona spoglądała wtenczas na nich tym suchym, rozognionem, napelnionem żółciową rosą, okiem, które tak wymownie tłumaczy uczucia nasze, które tak jawnie maluje obraz cierpień duszy, skołatanej, wzdętej żalem, bólem i bezprzytomną rozpaczą, że obadwaj cofnęli się i nie śmieli więcej rozdzielać ciał dwóch kochających się osób.

Słowa Sulejmana brzmiały jeszcze w uszach Karoliny. — Jak to? one mojem i siostrami, — pomyślała sobie, — możeby i z niemi wypadło podzielić się, nie, potrafię je opanować, tak

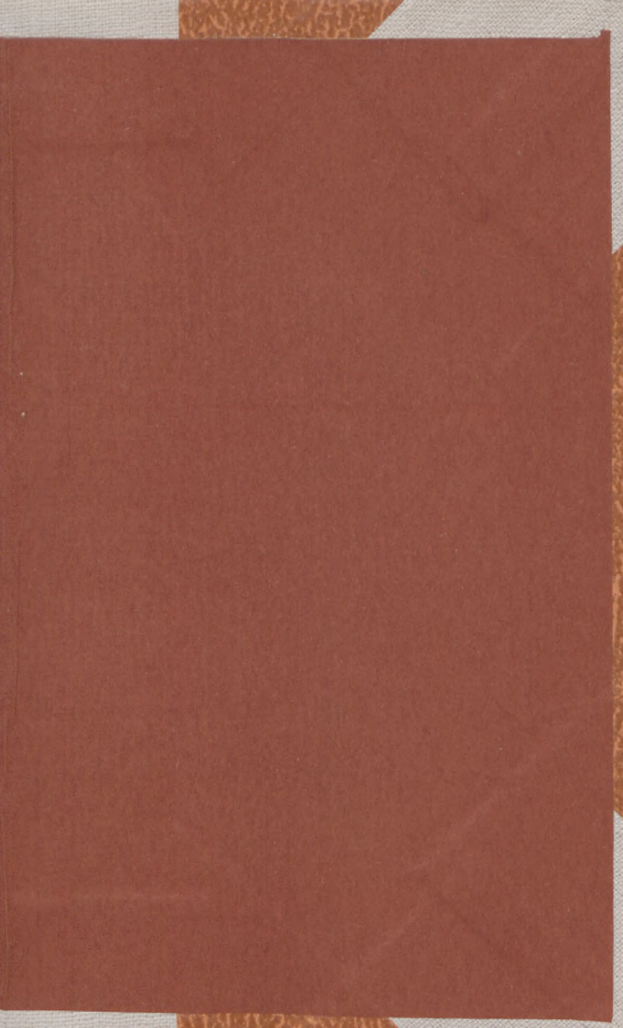
im przychylną się okaże, że same nawet nie będą chciały uszczuplać naszej części.

Karolina wcale nie wiedziała, iż ojciec jej, pomimo wydziedziczenia Klary, przy podziale pozostałego po mieczniku majątku, takowy w równych częściach podzielił i rozesłał. Część tylko bratu Ludwikowi przypadająca, pozostała przy nim, nie użytkował atoli z niej, lecz wszelkie dochody zgromadzał w jedno miejsce, aby je w razie wynalezienia brata, w całości temuż powrócić, albo też odpowiednie przeznaczenie w testamencie swoim wskazać.

Dla tego to mniejszem było jej wzruszenie z powodu obecności przy śmierci Sulejmana, aniżeli niespokojność powstała z kilku tych słów, pełnych dla nich wszystkich tajemniczo-

ści. Karolina przebywszy kilka godzin w stanie trudnym do opisania, oddała się od pozostałych po Tatarze sierot, i wyjechała do Wilna.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
Gdańsk

I 319248